ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 listopada 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
56 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy spo łeczne · literatura · sztuka ·

STEFAN POMIAN

JAN PAWEŁ MARAT

(24. V. 1743 — 13. VII. 1793)

Adamowi Próchnikowi

„Trudność oceny historycznej nie polega na tem, żeby umieć dostrzec zasługi i wykroczenia w karjerze politycznej danej jednostki, lecz żeby uchwycić problemy, którym ta jednostka musiała stawiać czoła w okresie swej karjery“. (Bagehot)

* * *

„Ut redeat miseris, abeat fortuna superbis“ („Aby zasilić biedaków, opodatkujmy bogaczy“). Dewiza czasopisma Marata „Journal de la République Française“.

* * *

„Wystarczy być nieszczęśliwym, by uzyskać u ciebie posłuchanie“. (Z listu Charlotte'y Corday do Marata 13. VII. 1793).

NIENAWIŚĆ I UWIELBIENIE

Kiedy w przededniu czwartej rocznicy zdobycia Bastylji, w samą północ z 13 na 14 lipca 1793 r., wyprowadzano z domu przy rue des Cordeliers nr. 30 w Paryżu Marję-Annę-Charlottę Corday d'Armans, zabójczynię „przyjaciela ludu“, Jana Pawła Marata, posła do Konwencji rewolucyjnej, — wielotysięczny tłum, rycząc z wściekłości, próbował wydrzeć z rąk straży tą 25-letnią piękną kobietę z rękoma związanemi na plecach, aby poszarpać ją na strzępy i pomścić śmierć swego przywódcy. Trzeba było walki straży z tłumem, by dotrzeć do pobliskiego więzienia L'Abbaye, ratując zabójczyni życie — na dni cztery.

Mordercze nasilenie nienawiści z jednej strony, kult masowy z drugiej: oto obraz stosunku społeczeństwa do Marata. Działacze prawicy rewolucyjnej — gen. Lafayette, madame Roland, Brissot i w. in. wystawili mu w swych pamiętnikach pomnik krwiożerczego potwora. Nawet Robespierre, Danton, maratysta Panis wypierali się łączności z Maratem w obliczu koncentrycznych ataków Żyrondy i swoich skrupułów. Historycy mieszczańscy Thiers, Carlyle, Michelet, Lamartine i ziejący nienawiścią do Komuny Paryskiej Hipolit Taine nie byli lepsi od pamiętnikarzy, podobnie jak współczesny rekordzista w tej dziedzinie Phipson (1924), cytowany bezkrytycznie przez prof. Thompsona z Oxfordu, a zarzucający Maratowi oszustwa i złodziejstwa, popełnione rzekomo jeszcze w okresie przedrewolucyjnym. (Prof. Gottschalk z Chicago napisał całą rozprawkę, w której wykazał absurdalność twierdzeń Phipsona).

Z drugiej strony dla mas sankiulotów, dla rewolucyjnego drobnomieszczaństwa i proletarjatu Marat był bożyszczem. (Oddźwięki tych nastrojów znajdujemy w „Les dieux ont soif“ Anatola France'a, powieści raczej antyrewolucyjnej). Dantoniści Fabre d'Eglantine i Camille Desmoulins uważają Marata za uosobienie genjalnej prostoty i ofiarności rewolucyjnej, za jedynego człowieka, który mógł uratować republikę od kontrrewolucji. „Urodziłeś się o dwa stulecia za wcześnie“ — to tylko miał mu Desmoulins do zarzucenia. Późniejszy termidorjanin Fréron oddawał mu do dyspozycji swój organ prasowy. Augustyn Robespierre, brat Maksymiljana, pisze w dwa dni po śmierci Marata: „Żył jak spartanin, nie wydawał nic na siebie, a wszystko, co miał, oddawał tym, którzy się doń zgłaszali po pomoc“. Po śmierci jego 37 miast francuskich przybrało nazwę „Marat“, paryski Montmartre nazwano Montmarat, a presja opinji publicznej zmusiła konwencję **termidorjańską** do przeniesienia 20. IX. 1794 r. zwłok Marata do Panteonu. (Aby je stamtąd usunąć, musiano uchwalić 8. II. 1795 r. specjalne prawo, na którego mocy honory Panteonu przysługiwały tylko zmarłym od lat dziesięciu).

Dzieła Marata, jak stwierdza Henryk Heine, były bardzo popularne wśród robotników paryskich jeszcze w okresie rewolucji 1830 i 1848 roku. Tuż przed Komuną Paryską sławił Marata w swej biografji Bougeart, za co przesiedział się w więzieniu, wydawca zaś dzieł Marata, Vermorel, zginął na barykadach Komuny. Wreszcie historycy Kropotkin, Bax, Jaurès, a w latach ostatnich Stiepanow, Gottschalk i Friedland zajęli się odtworzeniem oblicza Marata jako ofiarnego działacza, teoretyka, świetnego stratega i taktyka Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Jednak nawet wśród tych uczonych niema zupełnej jednolitości poglądów na Marata. Inne stanowisko reprezentuje uczeń Mathieza — Gottschalk, inne uczeni sowieccy, Stiepanow i Friedland. Spróbujmy wyłuskać z faktów bezsprzecznie ustalonych, z dzieł Marata, z polemiki o nim — prawdę objektywną w możliwie największem przybliżeniu.

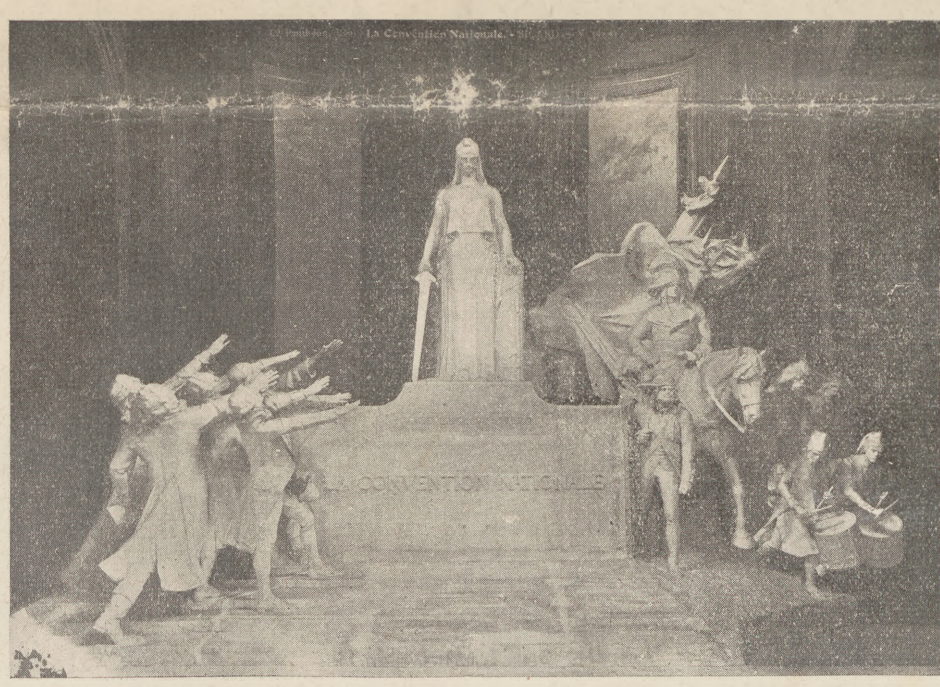

Sicard: Pomnik Konwencji Narodowej

DROGĄ NAJWIĘKSZEGO OPORU

A

Ludzie, nie interesujący się bliżej Wielką Rewolucją Francuską, wyobrażają sobie Marata zawsze jako postać nieco apokaliptyczną — rwącego się do władzy obdartego demagoga bez horyzontów szerszych, a zato o niejasnej przeszłości. A przecież w rzeczy samej jednym z najznamienniejszych rysów Marata było to, że tak łatwo zrezygnował z wieloletniego dobrobytu, intratnej karjery wziętego lekarza, głośnego w świecie teoretyka-fizyka (kandydował do Akademji Nauk w Madrycie), autora dzieł socjologicznych i prawnych, — aby rzucić się na wezbrane flukta działalności politycznej, która gotowała mu nędzę, prześladowania, chorobę i śmierć tragiczną. Co ciekawsze jednak — ten „travailleur infatigable“, niestrudzony pracownik, jak nazywają go biografowie, ten ziomek i uczeń Rousseau'a (urodził się w Szwajcarji z matki-szwajcarki i ojca sardyńczyka pochodzenia hiszpańskiego) nadługo jeszcze przed rewolucją, jako członek klas uprzywilejowanych, zajął zdecydowane stanowisko antyfeodalne i bronił sprawy ludu w swych pismach.

Dziesięcioletnim studjom filozoficznym, społecznym, medycznym i fizycznym we Francji, Anglji i Holandji zawdzięczał Marat wiedzę, która mu pozwoliła napisać traktaty „O człowieku“ (1773) i „Kajdany niewoli“ (1774). Druga z tych prac, wydana piętnaście lat przed wybuchem rewolucji — w Londynie — była próbą wyciągnięcia nauki z Wielkiej Rewolucji Angielskiej XVII. w. Kwintesencją jej były wnioski: 1) los biedaków, zawsze pokornych, ujarzmionych i wyzyskiwanych, **nigdy nie ulegnie zmianie drogą pokojową**; 2) dopóki ustawodawcy pochodzą **tylko z jednej klasy**, klasy bogaczy, będą się troszczyli **o własność niewielu**, nie zaś o wspólne dobro; 3) lud, który realizuje rewolucję, nie powinien dać sobie wyrwać z rąk owoców zwycięstwa — stąd płynie **konieczność dyktatury**; 4) jeśli nie obmyśli się planu pracy i reform do wprowadzenia po zwycięstwie, to sprawie rewolucji nadal grozi zguba. Jest to w zalążku całe stanowisko Marata-rewolucjonisty.

Przybywszy do Paryża w r. 1776 jako doktór medycyny i uzyskawszy piastowane później przez lat sześć intratne stanowisko lekarza gwardji przybocznej hr. d'Artois, brata Ludwika XVI, Marat oddaje się pracy naukowej i pisze szereg rozpraw z dziedziny fizyki. Akademja Nauk stwierdza doniosłość jego badań. Franklin zaszczyca go swą korespondencją. Prace jego zostają przełożone na język niemiecki. W r. 1780 Marat pisze „Plan ustawodawstwa kryminalnego“, w którym wypowiada szereg myśli radykalnych na temat prawa własności i staje w obronie warstw pracujących. „Nie może być legalnego nadmiaru dóbr u jednych przy równoczesnym niedostatku u innych“ — twierdzi. W przełomowym r. 1789 opracowuje projekt konstytucji w duchu monarchji konstytucyjnej. Żywi on wówczas jeszcze złudzenia co do jedności społecznej stanu trzeciego (mieszczaństwa, drobnomieszczaństwa i proletarjatu) i wierzy w króla-wyzwoliciela. Rzeczywistość rewolucyjna wkrótce pozbawi go złudzeń.

B

Działalność rewolucyjna Marata jest ściśle związana z redagowanem przezeń pismem „Ami du Peuple“ („Przyjaciel Ludu“), które rozsławiło imię jego po całej Europie. Pismo to ukazywało się w ciągu trzech lat — od połowy września r. 1789 do połowy września r. 1792 (685 numerów). Po ogłoszeniu republiki (22. IX. 1792) Marat zmienia nagłówek pisma na „Journal de la République Française“ („Dziennik Rzeczypospolitej Francuskiej“), a później na „Publiciste de la République Française“, którego ostatni numer ukaże się nazajutrz po tragicznej śmierci redaktora — 14. VII. 1793 r.

Nieprzejednane stanowisko demokratyczno-rewolucyjne Marata (protestował m. in. przeciw ordynacji wyborczej, uzależniającej prawa wyborcze od cenzusu majątkowego), ostrość wystąpień przeciwko tym, których uważał za zdrajców sprawy, ściągnęły nań szereg prześladowań. Już w styczniu r. 1790 gen. Lafayette demoluje drukarnię Marata. Wobec prób aresztowania go Marat ucieka do Anglji, gdzie spędza cztery miesiące. W lipcu tegoż roku ogłasza artykuł „C'en est fait de nous“ („Już po nas“), w którym demaskuje spisek kontrrewolucyjny i wzywa lud do powstania zbrojnego oraz terroru i dyktatury, stwierdzając, że lepiej ściąć 500—600 głów kontrrewolucjonistów, niż dopuścić do miljonowych ofiar ze strony ludu. Artykuł wywołał wielkie wrażenie i niezliczone ataki na jego autora. Równocześnie Marat ostro gromi faktyczną dyktaturę gen. Lafayette'a na terenie armji, domaga się praw dla żołnierza-obywatela, żąda „czystki“ władz administracji cywilnej itp. Następują nowe prześladowania pisma i próby aresztowania redaktora (w ciągu półtora roku siedem razy próbowano go ująć!), które zmuszają Marata do ciągłego ukrywania się po piwnicach i lokalach konspiracyjnych wraz z swą drukarnią.

Od samego początku swych wystąpień Marat zdobywa sobie wielkie sympatje wśród ludu oraz części inteligencji. Informowany ze stron najmniej spodziewanych, nieulękły tropiciel wrogów ludu, Marat już w lipcu r. 1790 demaskuje stojącego u szczytu popularności posła Mirabeau jako sprzedajnego ajenta królewskiego, co później okazuje się najzupełniejszą prawdą. Nie przeszkodziło to Mirabeau dostać się po śmierci do Panteonu; zwłoki jego usunięto stamtąd dopiero w dniu, gdy spoczął tam jego oskarżyciel — Marat. Zdradę i ucieczkę gen. Lafayette'a, gen. Dumouriezа i króla Ludwika XVI. Marat przepowiada na szereg miesięcy zgóry. Po rzezi na Polu Marsowem (17. VII. 1791), jaką wyprawiają mer Paryża, Bailly, i dowódca gwardji narodowej, gen. Lafayette, ludowi, domagającemu się abdykacji króla, Marat uznaje, że **złudzenie jedności rewolucyjnego stanu trzeciego prysło** i że **polityka ludu** (nowego stanu — czwartego) **nie może mieć nic wspólnego z polityką finansjery, przemysłu oraz kupiectwa.**

Niewybrany do Izby Ustawodawczej (drugiego po Konstytuancie parlamentu rewolucyjnego) Marat ostro występuje przeciw prądom wojennym w jej łonie (1792 kwiecień), prądom, reprezentowanym przez żyrondystów. Są to przedstawiciele interesów przemysłu z południa Francji i zwolennicy polityki wolnohandlowej, spekulacyjnej, której okiełznania domagają się masy pracujące Francji (postulat stałych cen, t. zw. maximum). Licząc na szybkie zwycięstwo na froncie i poskromienie ludu, żyrondyści prą całą siłą do wojny i pociągają za sobą nawet jakobinów — z wyjątkiem dalekowzrocznego Robespierre'a i Marata. Prześladowany po wybuchu wojny z Austrją i Niemcami, Marat ukrywa się do 10. VIII. 1792 r. kiedyto lud zdobywa Tuilerje, król zaś zostaje zmuszony do abdykacji. Zwycięzcy ofiarują Maratowi drukarnię królewską. Następują przepowiedziane przez Robespierre'a i Marata klęski wojenne: upadek Longwy i Verdun. Paryż jest w niebezpieczeństwie. Marat staje na stanowisku, że „lud może ocalić ojczyznę tylko przerażając jej wrogów“ i prze do zaostrzenia terroru. Jak stwierdza reakcyjny skądinąd historyk rewolucji i biograf Dantona — Madelin, słynne rzezie wrześniowe 1792 r. w więzieniach paryskich, i na całym terenie Francji, podczas których padło wielu niewinnych, (skądinąd były one — tak jak 10. VIII. 1792 — rewanżem ludu za rzeź na Polu Marsowem) dodały jednak ducha armji na froncie wzbudzając w niej przeświadczenie, że tyły ma zabezpieczone

i pośrednio przyczyniły się do powstania tego nastroju, który spowodował zwycięstwa pod Valmy i Jemmappes. Opóźniły również o pół roku wybuch kontrrewolucji w Wandei.

Wybrany do trzeciego skolei parlamentu rewolucyjnego — Konwencji, Marat w styczniu 1793 r. głosuje za śmiercią króla Ludwika XVI, a potem staje się jednym z heroldów walki z Żyrondą, do której upadku walnie się przyczynia (2. VI. 1793). Upadek ten — to realizacja przewrotu demokratycznego. Konwencja znosi resztę powinności feodalnych, wprowadza taksę na chleb, uchwala nową radykalną konstytucję republikańską. Zdaniem Marata śmierć króla, rzezie wrześniowe i upadek Żyrondy — to etapy w walce sankiulotów, o władzę, o dyktaturę ludu z Maratem na czele. Na tle niedojrzałości ustrojowej próby te były przedwczesne (stwierdza to m. in. już Engels). Marat musiał zostać izolowany i zginąć.

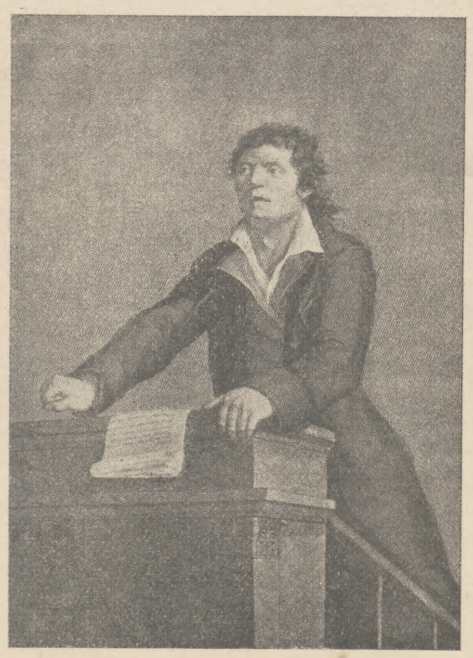

Simon Petit: Marat na trybunie

Wytężona praca, kilkoletnie ukrywanie się po lochach, steranie nerwowe oraz śmiertelna zapewne choroba, nabyta w okresie prześladowań, zmusiły Marata do wycofania się z czynnego życia politycznego. Redagował jednak swe pismo aż do tragicznej śmierci z ręki Charlotte Corday, mszczącej się za pogrom Żyrondy.

W ZACISZU DOMOWEM I NA FORUM PUBLICZNEM

„Poświęcam tylko parę godzin na dobę snowi, godzinę na pożywienie, ubieranie się i sprawy gospodarskie. Poza godzinami, które poświęcam obowiązkom poselskim, przeznaczam sześć godzin na słuchanie skarg tłumu nieszczęśliwych i uciemiężonych, którzy uważają mnie za swego obrońcę; na popieranie ich roszczeń zapomocą petycyj i materjałów; na czytanie i odpowiadanie na setki listów; na doglądanie druku poważnego dzieła, które się niedługo ukaże; na notowanie sobie wszystkich interesujących wydarzeń rewolucji i komentowanie ich na piśmie; na przyjmowanie denuncjacyj i kontrolowanie ich „bona fides" i wreszcie na wydawanie mego pisma. Tak oto spędzam dzień. Nie przypuszczam, żeby można było mnie oskarżać o lenistwo. Od zgórą trzech lat nie miałem kwadransa urlopu".

Tak pisze Marat o sobie, a wiadomo skądinąd, że nie mija się z istotnym stanem rzeczy. Według Marata obowiązkiem dziennikarza rewolucyjnego jest życie bez wygód, ofiarność aż do ofiary z życia włącznie, nieufność wobec władz, walka z kretynizmem parlamentarnym. Trzeba walczyć o władze rewolucyjne, aby móc się poddać prawom, wydanym przez nie.

W służbie rewolucji Marat stracił cały swój majątek. By zdobyć fundusze na drukowanie pamfletów, żyje — jak twierdzi — w ciągu dziewięciu miesięcy nieomal o chlebie i wodzie. Nawykły do luksusowych warunków dawnej egzystencji (wspomina o nich pani Roland), wyrzeka się ich i pędzi żywot bardzo skromny wraz z żoną, Simonne Evrard, praczką z zawodu, i córką cieśli, która z poświęceniem go pielęgnuje. Jest wzorowym małżonkiem, co ze zdumieniem notują historycy. Dalekowzroczność polityczna zjednywa mu przydomek Kassandry (Desmoulins). Nosi się jak sankiulota, skąd zarzut pozy ludowej i kompleksu niższości (Thompson). Ale ten sam chwyt „degradacyjny" stosowany był przez historyków mieszczańskich do Robespierre'a i do całego szeregu przywódców rewolucji. Marat miał tyle odwagi cywilnej, żeby wedrzeć się w rozchełstanej na piersiach koszuli na bankiet, jakim podejmowano gen. Dumourieza i zażądać odeń wyjaśnień, których późniejszy zdrajca mu odmówił. Mocno zaniedbany w ubiorze, prowokował żądania przeciwników politycznych, żeby... wykadzić po nim trybunę Konwencji! W rzeczywistości był znienawidzony przez prawicę za bezwzględną z nią walkę.

W walce tej bywa niekiedy przesadnie ostry (choć daleki jest od wulgarności stylu Héberta, redaktora „Père Duchesne"). Razporaz domaga się tysięcy głów arystokratów i zdrajców, stając się dla swych przeciwników uosobieniem krwiożerczości. Z drugiej strony jednak potrafi starać się o uwolnienie trzech żyrondystów, których uważał za niewinnych, uratować życie przeciwniczce swej, Théroigne de Méricourt (jak się później okazało, ajentce austrjackiej) lub wyrwać z rąk tłumu jakiegoś Bogu ducha winnego arystokratę.

Demagogja i granie na instynktach mas nie były mu obce. Twierdzi np., iż podczas rzezi wrześniowych 1792 r. nie zginął ani jeden niewinny człowiek, a trudno przypuścić, żeby Marat nie był poinformowany o istotnym stanie rzeczy, bardzo odbiegającym od jego twierdzeń, choćby ze względu na masakrę więźniów... kryminalnych i obyczajowych, jakiej się wówczas dopuszczono.

Kiedyś odezwał się do Basire'a, że jest zmuszony do demagogicznego przejaskrawiania postulatów, bo inaczejby go nie słuchano — i że nie pisałby tego, co pisze, gdyby wiedział, że lud weźmie **wszystko** naserjo. Wynikałoby z tego w każdym razie, że sam Marat dobrze wiedział, gdzie jest granica pomiędzy objektywizmem a demagogją w jego wystąpieniach.

Cechuje go istna furja oskarżycielska, umie jednak zdobyć się i na odwołanie swych zarzutów, skoro uzna je za niesłuszne. Niezawsze jednak, na nieszczęście — pochłonięty pracą i zaszczuty — miał czas na dociekanie słuszności swych oskarżeń, jak twierdzą historycy — niejednokrotnie gołosłownych.

Nerwy Marata, żyjącego życiem nielegalnem, tropionego i spotwarzanego, były wystawione na bardzo ciężką próbę, znacznie cięższą niż nerwy przeciętnego działacza rewolucyjnego. Trudno mu się dziwić, gdy go te nerwy czasem ponoszą lub zawodzą. Trzeba wszak pamiętać, iż Marat jest zasadniczo uczonym, teoretykiem, o horyzontach ogólnych bardzo szerokich (wbrew wszelkim zakorzenionym legendom). Jako takiemu niełatwo mu zapewne było dostosować się do gorączkowej atmosfery politycznej owego okresu, atmosfery walki na śmierć i życie. Jego zalecenia polityczne są naogół przedwczesne, nieraz o... paręset lat. Hasło dyktatury nie miało zwolenników nawet wśród sankiulotów, inne wchodziły w życie znacznie później, niż Marat je rzucał — i z inicjatywy innych osób. Pod tym względem Marat różnił się od Robespierre'a, wielkiego męża stanu i gracza praktycznego całą gębą, który sytuację polityczno-społeczną kraju widział niewątpliwie jaśniej niż Marat, ustępował mu natomiast pod względem rozległości horyzontów naukowych, a może i ogólnego poziomu inteligencji.

Hauer: Charlotte Corday w więzieniu

Gdy Robespierre, przeciwnik walki klasowej, w rozmowie prywatnej gorzko Maratowi wyrzuca zjadliwość jego wystąpień, ten z żarem, niewątpliwie szczerym, odpowie:

„Autorytetu, jaki posiadam u ludu, nie zawdzięczam swej ideologji, lecz odwadze, gwałtownym porywom mej duszy, krzykom wściekłości, rozpaczy i szału, wymierzonym przeciw zbrodniarzom, którzy utrudniają działania Rewolucji. Jestem uosobieniem gniewu, sprawiedliwego gniewu ludu: oto dlaczego słucha on mnie i wierzy we mnie. Te wołania na alarm, krzyki wściekłości, które uważasz za słowa, rzucane na wiatr, są jak najbardziej bezpośrednim i szczerym wyrazem namiętności, pożerających mą duszę".

I owym właśnie wołaniom na alarm, namiętnościom, jakie Maratem targały, romantyzmowi życia i „sankiulotyzmowi" postaci, ofiarności i furji, prawdzie i demagogji, objektywizmowi i przesadzie w wystąpieniach — zawdzięczał Marat to, że stał się bożyszczem mas ludowych, a autorytet jego zaciążył nawet na tych, którzy i ideologji jego i osobie w gruncie rzeczy bardzo byli niechętni.

W KUŹNICY IDEOLOGICZNEJ

„Jedynie plebs, t. j. niższe klasy narodu walczą przeciw klasom wyższym... Wykształceni, przebiegli intryganci spośród klas wyższych wystąpili początkowo przeciwko despocie (królowi — dop. St. P.), ale uczynili to tylko poto, żeby wkraść się w zaufanie ludu, a potem zwrócić się przeciw niemu; posłużyli się oni jego potęgą tylko poto, aby zająć miejsce stanów uprzywilejowanych (ziemiaństwa i duchowieństwa — dop. St. P.), które wypędzono. Toteż rewolucji dokonały... tylko najniższe klasy społeczne — robotnicy, rzemieślnicy, kramarze, chłopi, plebs... Lecz czegoby się nikt nie spodziewał, to faktu, że wyszła ona na korzyść tylko posiadaczom i prawnikom, zausznikom całej intrygi".

Ten fragment z pism Marata rzuca jaskrawe światło na rolę jego autora: **wnosi on świadomość stanową do klas ludowych, sankiulotów.** „Wielka Rewolucja Francuska — pisał Karol Marx — była rozprawą, dokonaną metodami plebejskiemi z **wrogami burżuazji".** (Podkr. St. P.). Marat bił na alarm, ponieważ widział, że po usunięciu przez lud „wrogów burżuazji", t. j. ziemiaństwa i kleru — władza dostaje się w ręce burżuazji, a nie ludu. Walki polityczne w kapitalistycznej Anglji i demokracji w miastach szwajcarskich pouczyły Marata o niejednem.

Celem wydarcia władzy z rąk mieszczaństwa Marat kolejno domaga się zorganizowania **klubów rewolucyjnych, trybunału rewolucyjnego, dyktatury,** skoncentrowanej w jego rękach (ten **personalny** charakter dyktatury zbyt mało uwzględniają uczeni sowieccy), wreszcie **Komitetu Ocalenia Publicznego** (rządu, wybieranego przez Konwencję). Z wyjątkiem dyktatury instytucje te stopniowo weszły w życie i odegrały wielką rolę (choć niezawsze taką, o jaką Maratowi chodziło). Rozumiejąc, że uchwały parlamentu zależne są od postawy ulicy, Marat kładł wielki **nacisk na wystąpienia masowe.** To, że żył w epoce **rękodzielniczego** stadjum rozwoju kapitalizmu, nie mogło się jednak nie odbić na jego psychice. Broniąc sprawy sankiulotów, **nie widzi on sprzeczności interesów w ich łonie** (proletarjat fabryczny i chałupniczy — a rzemieślnicy, kramarze, chłopi) — w pierwszym rzędzie jeśli chodzi o zagadnienie maximum cen i płac. Jego wahania są znamienne, wypieranie się zaś idei dyktatury nieszczere, ale świadczące, że nie czuł mocnej bazy klasowej, na której mógłby się oprzeć. Znamienne też są jego niekonsekwencje. **Dyktatura Marata ma być dyktaturą — z ramienia Konwencji,** t. j. parlamentu istniejącego nadal obok niej! **Marat dąży do równości praw i dóbr — przy zachowaniu własności prywatnej!**

Nie mając zamiaru likwidować czy upaństwowić własności prywatnej środków produkcji Marat chce rozwiązać zagadnienie nędzy przez **obdarowanie sankiulotów ziemią** (podobnie jak później Robespierre i St. Just), **opodatkowanie postępowe burżuazji i stworzenie funduszu narodowego pomocy bezrobotnym.** Projektuje **warsztaty narodowe** i manufaktury municypalne na długo przed Louis Blankiem. Podkreśla przytem **znaczenie maszyn dla przemysłu.** Jest on przeciwnikiem prawa Le Chapeliera (14. VI. 1791), zakazującego zrzeszeń i zmów robotniczych, i proroczo przepowiada **strejk jako formę walki proletarjatu w obronie swych praw. Broni jednak cechów,** domagając się coprawda gruntownej ich reorganizacji. Jest przeto **obrońcą m. in. pozycji przedproletarjackich, ale ze stanowiska walki klasowej.** Zarzuty więc konserwatyzmu ze strony Gottschalka, twierdzenie, że radykalizm społeczny Marata został mu narzucony przez wypadki (a „Kajdany niewoli" i in.?), nie wytrzymuje krytyki. Jeśli Marat był obojętny na prądy republikańskie jeszcze w r. 1791, to dlatego, że kładł nacisk na momenty społeczne, **„demokrację stanu czwartego",** które wydawały mu się istotniejsze. Obalenie Żyrondy, realizacja przewrotu burżuazyjno-demokratycznego, pozwoliły mu jeszcze bardziej wysunąć na czoło **zagadnienie nierówności ekonomicznej.**

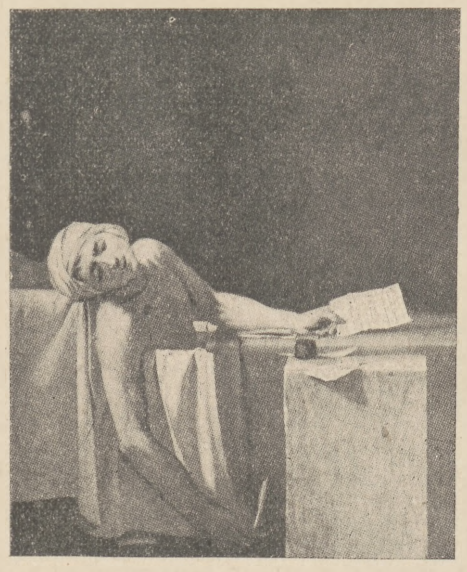

David: Śmierć Marata

Tragizmem Marata była niedojrzałość sytuacji, mas, brak zorganizowanego stronnictwa oraz własne jego niekonsekwencje ideologiczne. Teorja i strategja tego teoretyka i stratega rewolucji plebejskiej rękodzielniczego stadjum kapitalizmu **nie nosiły z natury rzeczy charakteru klasowo-proletarjackiego, lecz drobnomieszczański** (najsłabszą jej częścią były przewidywania tego, co nastąpi po zwycięstwie). Niemniej przeto Marat był najwybitniejszym reprezentantem skrajnego kierunku radykalno-społecznego Wielkiej Rewolucji Francuskiej. **Nie mógł być i nie był socjalistą,** był jednak niewątpliwie **zwiastunem socjalizmu.** Robotników uważał za „najzdrowszą, najpożyteczniejszą warstwę ludu, bez której społeczeństwo nie mogłoby wyżyć ani jednego dnia"; „obarczeni przez wszystkie ciężary państwa, nie korzystają z żadnych jego przywilejów". Zagadnieniu robotniczemu Marat poświęcał sporo uwagi w swem piśmie. Jean Jaurès, autor wielotomowych „Dziejów socjalistycznych Wielkiej Rewolucji Francuskiej", twierdzi, że **proletarjat paryski zawdzięcza Maratowi uświadomienie sobie do pewnego stopnia faktu, że jest samodzielną klasą społeczną.** I tak oto — z twarzą zwróconą ku przyszłości — Marat przechodzi do historji.

O MIEJSCE W PANTEONIE LUDZKOŚCI

Jakże więc daleki jest ten Marat prawdziwy — działacz społeczny, myśliciel, exuczony, — burzliwy, omylny, nieraz przesadny i niekonsekwentny, ale szczery, ideowy i twórczy — od owego szczerzącego kły, krwiożerczego potwora, jakiego nam przekazała francusko-angielska historjografja mieszczańska! Jak dalece wymagają rewizji nasze — pożal się Boże — „tradycyjne" poglądy na Wielką Rewolucję Francuską! Ile kłamstw na ten temat kolportujemy mimowoli, zaczynając choćby od słynnego rzekomego powiedzenia Fouquier-Tinville'a: „Rewolucja nie potrzebuje uczonych" — powiedzenia, którego... nie było! (Ostatnio przytacza je znów bezkrytycznie w pięknej książce o Marji Curie jej córka — Ewa).*)

Marat nie doczekał się jeszcze pomnika w Paryżu jak Danton. Cień jego unosi się jednak nad zbiorowym, dynamicznym pomnikiem dłuta F. Sicarda w Panteonie, jakim Francja uczciła swoją Wielką Rewolucję. Po lewej jego stronie stoją tam najwybitniejsi działacze pierwszego okresu Rewolucji składając przysięgę w Sali Gry w Piłkę gestem rzymskim, zbeszczeszczonym obecnie przez faszyzm. Po prawej — armja sankiulotów wyrusza w świat. Pośrodku mieści się pomnik Konwencji Narodowej z dumnym napisem: „Vivre libre ou mourir" (żyć wolnym lub umrzeć). Wznosi się na nim postać w czapce frygijskiej, z mieczem w dłoni, uosobienie czynu rewolucyjnego. Ten pomnik jest hołdem, złożonym przez społeczeństwo francuskie swoim „ludziom przedwczesnym", zwiastunom i zapładniaczom ideowym, ich heroizmowi, ich niezawinionemu tragizmowi, ich samotnemu męstwu.

Na cokóle pomnika należałoby wyryć słowa Zaratustry: **„Czyż żyłem kiedy dla mego szczęścia? Dla mego dzieła żyłem"** oraz wezwanie Romain Rollanda („Jean-Christophe", II., Epilog): **„Mrzyjcie, którzy macie umierać! Żyjcie, którzy macie żyć! Nie żyje się poto, aby być szczęśliwym. Żyje się poto, aby spełnić moje prawo. Cierp! Umieraj! Ale bądź tem, czem być powinieneś: CZŁOWIEKIEM".**

Stefan Pomian

*) Por. **Philippe Sagnac. La Révolution française et la civilisation européenne** w książce zbiorowej **G. Lefebvre, R. Guyot, P. Sagnac. La Révolution française,** Paris, 1930, na str. 470.

E. SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

Fragment z poematu »Lisie księżyce«

Czy naszym ciałom kochającym
jak wiatr z drzewami,
ziemia z słońcem,
podarowany będzie żywot
na długo:
wspólny i szczęśliwy?

Czy też nas wyrwie z pęt uścisku
wojny grzmot, kul i noży błyski,
śmierć głucha,
wyrok lub zesłanie —
i zburzy słodkie nam posłanie?

Jak długo uścisk będzie nocny
na cały dzień nam serca zdobił
w gwiazdy i w ptaki,
i w pazury,
w ciepłe zatoczki,
w listki małe?

Czy przyjdą lata,
gdy co nocy
starzeć się wspólnie będzie dano?
I wstawać starszym w każde rano
tak siecią zmarszczek
ostrych, groźnych
jak pieszczot śladem pooranym?

Wkońcu
jak jedno pomarszczone
jądro w orzechu —
będziem spali.
Maleńcy, żółci i nietrwali,
nieobudzeni: jakby grono
dwóch uschłych jagód lub korzonek,
co przybrał dziwny kształt człowieczy:
nóg cztery, głów dwie, jedno serce...

I znajdzie nas po wieków setkach
wolne, genjalne, ludzkie dziecko,
dziecko przyszłości,
doskonałe,
i zdziwi się,
i schowa w kieszeń
(to śmieszne, ludzkie, zeschłe szczęście)
wraz z kilometrem sznurków różnych,
no i z kamyków kilogramem.

A w przyszłym domu, wonnym, szklanym,
wytknąwszy język z natężenia
wpakuje nas między bibuły
i przyprasuje stosem książek
(mały orzeszek,
korzeń, grono),
i powie mamie swej wspaniałej:
widzisz jaki dziś do zielnika
znalazłem sobie dziwolążek!

JERZY BOREISZA

WILCZE DOŁY MAXIMILIANA HARDENA

Pożółkłe, niewielkie zeszyty w koszu ulicznego sprzedawcy książek. Czerwony, zdobny gotykiem, na brązowem tle wyblakły napis: „Die Zukunft—Herausgeber: Maximilian Harden". Maximilian Harden w koszu jarmarcznego sprzedawcy książek? Harden — a któż to taki? Dziesięć lat minęło od chwili, gdy zmarł publicysta, który przed wojną trząsł opinją publiczną mieszczaństwa Niemiec, a dziś — któż o nim jeszcze pamięta?

Był nasamprzód aktorem. I to nie drugorzędnym artystą w prowincjonalnym teatrze, ale partnerem słynnej naonczas Franzisci Ellmenreich w dramatach Schillera, Goethego i Szekspira.

Ojciec, Witkowsky, należał do pokolenia, wychowanego na twórczości Heinego i Börnego. Był z pokolenia „Achtundvierzieger", tych co robili rewolucję 1848 r., by ruchem oddolnym, rewolucyjnym złączyć Niemcy. I cóż dziwnego, że w tym ruchu prącego wzwyż mieszczaństwa, drobnomieszczaństwa i kiełkującego proletarjatu brał udział zamożny kupiec żydowski Witkowsky, syn starego narodu kupców? I cóż osobliwego w tem, że skoro wiek XIX dał przodującą rolę mieszczaństwu, właśnie jeden z najstarszych narodów kupieckich tak bardzo zaważył na drogach jego kultury? I cóż niezwykłego w tem, że skoro nadszedł czas przenikania francuskiej kultury do Niemiec, rzecznikami owego zbliżenia byli Heine i Börne?

1848! Krew lała się na ulicach Niemiec i Austrji, a gdy Metternich oburzony obruszył się na burmistrza, czemu nie potrafił stłumić tumultu, burmistrz odrzekł mu słowami księcia Lyancoura po zdobyciu Bastylji: „To nie tumult — to rewolucja". A na to Metternich: „Nieprawda, to Żydy, Polacy, Włosi i Szwajcarzy buntują naród". Agentów bolszewickich wówczas jeszcze nie było, i rzecz zrozumiała, iż, gdy Mierosławski z czarno-czerwono-złotym sztandarem w ręku przemawiał do tłumu w Berlinie, księciu Metternichowi w roli podżegaczy majaczyli się Polacy. A gdy rewolucja poczęła wygasać, „Zeitungshalle" proroczo przewidziała: „Chodzi o to, że w naszym kraju, zarówno jak w Anglji i Francji nastąpił rozbrat między bürgerami a robotnikami. Nasi bürgerzy dobrze zrozumieli ten proces, i oto czemu w kilka dni po naszej znakomitej rewolucji cofają się czemprędzej w tył".

Ojciec Witkowsky, przyjaciel Bebla, wierzył, iż wraz z nurtem rewolucyjnym zdoła wrosnąć, zrównać się ze społeczeństwem niemieckiem. Syn wyrósł w czasach, gdy junkierskie Niemcy, zdusiwszy ruch rewolucyjny, dokonały zjednoczenia kraju odgórnym przełomem. Młode pokolenie mieszczańskie było już wsteczne w stosunku do swych ojców. I jak dziś syn, wychowany w „ballilach" albo w „Hitlerjugend", nie rozumie często ojca, przywiązanego do starych sztandarów ruchu robotniczego, tak również młody Witkowsky nie rozumiał swego ojca.

A jednak ślady owej atmosfery „Achtundvierzieger" pozostały jeszcze na długo potem w duszy wielbiciela Bismarcka. „Trzeba było wychować się w nabrzmiałej goryczą atmosferze spóźnionych ludzi z r. 1848, by zrozumieć, jakie mieliśmy wyobrażenie my młodzi o Bismarcku na długo po wielkiej wojnie. Wilk staje się niezwykle łagodnem, przyjaznem zwierzęciem wobec obrazu Bismarcka, jaki przed nami roztaczano" — pisał Harden w swym portrecie Bismarcka. — „Dopiero gdy się wyrosło, można się wyzwolić spod wpływu tego narzuconego obrazu".

Czasy Heinego i Börnego, gdy w kołach inteligencji nie poczytywano sobie bynajmniej żydowskiego pochodzenia za szczęśliwy zbieg okoliczności, ale również i nie za powód do kompleksu niższości — minęły. W mieszczaństwie żydowskiem rósł kult dla arystokracji niemieckiej, dla junkrów, pęd do skoligacenia się z nią węzłami krwi. A pietyzm dla arystokracji niemieckiej, uwielbienie, które tragicznie zaciążyło na życiu całem i na działalności adwokata i trybuna Lassalle'a, jednego z usłużnych popleczników Bismarcka, określiło sobą kierunek rozwoju młodego Hardena.

W CIENIU KANCLERZA

Aktor Harden rzucił scenę dla publicystyki. Zwrócił na siebie uwagę swojem ciętem piórem, polotem myśli, kulturą. Były to przecież czasy, gdy poziom publicystyki, wykształcenie i kultura pisarza nie stały się jeszcze grzechem niewybaczalnym. Były to przecież czasy, gdy w prasie prawicowej i konserwatywnej nie poświęcano jeszcze tyle miejsca badaniom pisarza poniżej pasa, ceniono zaś wartości merytoryczne.

Stary Bismarck szukał publicysty, któryby stał się tubą jego zmagań się z Wilhelmem II; zwrócił uwagę na Hardena. Zaprosił go do siebie. Oczarował, pozyskał zupełnie i nie pomylił się. Publicysta stał się piewcą jego wielkości. Gdy przerzucając kartki „Köpfe" Hardena napotykamy opis śmierci Bismarcka, „tej największej w dziejach świata głowy", i cytatę z Goethego: „Oto świat płacze, a łza miałaby oszczędzić nasze oczy", albo gdy czytamy odpowiedź Bismarcka cesarzowi: „Władza mego Pana kończy się na progu salonu mojej żony", albo długie opisy rozmów z kanclerzem, albo tę scenę, gdy jesienią 1894 r., „kanclerz usiadł na wąskiem łożu śmierci swej Joanny i rozpłakał się jak dziecko; był w szlafroku, bez pończoch, opuścił głowę i cicho łkał w sobie...", albo tyle innych drobiazgów — wyczuwa się jednak szczerość odczucia i kulturę, jakiej brak epigonom świetnej publicystyki mieszczańskich Niemiec, w rodzaju sentymentalnego, napuszonego, rozgadanego Emila Ludwiga.

Czasy były zresztą inne. Między żelaznym kanclerzem a jego następcami u steru władzy, którzy od Wilhelma II aż po nasze czasy trwają w sztuce zewnętrznych efektów, wielkich słów i demagogji pośledniejszego gatunku, — istnieje różnica poziomu. Zapewne, poziom jest objawem tego czy system reprezentuje postępowe elementy, czy jest tylko wyrazicielem sił wstecznych i rozkładowych. Zapewne, poziom jest wypadkową przemian zachodzących w warstwie, będącej u steru władzy, A jeśli rzeczy i ludzi wielkich i na poziomie można nienawidzieć, to dla hitlerowskich epigonów, rozgadanych w swej krzykliwej, taniej, powszedniej demagogji można żywić conajwyżej pogardę.

Bismarck był zaciekłym wrogiem socjalizmu i służył dobrze interesom tego systemu, który reprezentował. Był jednak dla reakcji **swoim** człowiekiem. Tam gdzie hitlerowskiemu parwenjuszowi u steru władzy potrzebna jest poza i dekoracja, światła reflektorów oraz zręczna inscenizacja, Bismarckowi wystarczył zwykły od niechcenia gest. Jeśli pokoleniu Bismarcka dla sprawowania władzy wystarczali swoi ludzie reakcji, odnoszący się do parwenjuszów z pogardą, w współczesnej nam epoce potrzebny jest u steru władzy dorobkiewiczowski Judasz z wystudjowaną pozą zbawcy. Różnica z punktu widzenia kulturalnego istotna: powiedzmy, taka sama, jak między surowcem a „ersatzem", powstałym z odpadków.

Walka Hardena z pokoleniem po-bismarckowskiem u władzy, była, rzecz jasna, również walką o pewne koncepcje polityki zagranicznej i krajowej. Była obroną sojuszu z caratem, rozbioru Polski, była walką z zaostrzaniem stosunków z Anglją i t. d. Harden w okresie caratu pisał: „W Rosji nie toczy się walka o wolność i prawa człowieka". Marzył o skłóceniu Anglji z Francją. „Być może, mogliśmy w roku 1899 dogadać się z Anglją przeciwko Francji, w roku 1901 porozumieć się z Francją i Hiszpanją przeciwko Anglji w sprawie Marokka. Jeśli tych możliwości nie wyzyskano, było to bardzo mądre. Sfera interesów Niemiec nie powinna nigdy przylegać bezpośrednio do Morza Śródziemnego. A państwo szeriffów powinno pozostać jabłkiem niezgody między państwami Zachodu". Jak wiadomo, po-bismarckowska dyplomacja szła w odmiennym kierunku. Ale poza tem wszystkiem, była to walka dwóch pokoleń, dwóch „poziomów".

PROCESY

Prócz publicystyki wsławił się Harden licznemi procesami. Nie zawsze jako oskarżony. Nie zawsze w sprawach politycznych. Największy rozgłos zyskała jego walka z ks. Eulenburgiem: opierając się na licznych prywatnych dokumentach, poufnych wiadomościach wszczął Harden kampanję demaskującą homoseksualizm na dworze cesarza, i to w gronie jego najbliższych doradców. Zmusił przeciwników do wytoczenia sobie sprawy i przeprowadził dowód prawdy.

Oczywiście, tego rodzaju kampanja wywołała niesmak wśród pewnych wielbicieli Hardena, którzy posądzali go o tanią reklamę poprzez wkraczanie „do spraw poniżej pasa", jak pisał Krauss. Harden bronił się, twierdząc: „Życie seksualne to rzecz prywatna. Ale wtedy, gdy wchodzi ono w dziedzinę prawa narodowego albo społecznego — wolno te rzeczy obnażać".

Wierzył w swe posłannictwo. Był zaciekłym patrjotą niemieckim, dla którego nic prócz wielkości dzieła Bismarcka zdawało się nie istnieć. A gdy dziś jeszcze czytamy tom „Prozesse", niewiadomo, co bardziej podziwiać: temperament pisarza, który odziedziczył zjadliwe pióro po Heinem i Börnem, czy zaciekłość i bezwzględność publicysty, z taką pasją walczącego ze znienawidzonym Wilhelmem II w imię... najczarniejszej reakcji.

Zwyciężył: Wilhelm odsunął szybko od siebie swych skompromitowanych przyjaciół. Wdzięcznością nie grzeszył ani on, ani jego hitlerowscy następcy. Zapewne, różnica polegałaby na tem, że Wilhelm II nie używał jeszcze chwytów w rodzaju nocy 30 czerwca; wówczas chwyty te były jeszcze niemodne.

PIÓRO I WŁADZA

Wojna przecięła bieg wypadków, zagoiła stare rany, otworzyła nowe. Harden stanął w szeregu najzacieklejszych obrońców imperjalizmu niemieckiego, niepomny swych tradycyj politycznych, które przecież kazały mu potępić wojnę w takich warunkach, przy takim układzie sił międzynarodowych. Ale wnet zrozumiał — jeden z pierwszych — że Niemcy muszą ponieść w wojnie klęskę. Jeszcze trwała wojna, gdy gwałtownie zmienił swą orjentację i począł wołać o pokój. A gdy zbliżały się ostatnie godziny Wilhelma II, ten, zapomniawszy swemu antagoniście stoczone boje, zaproponował go do składu delegacji pokojowej. Harden odmówił.

Kilka lat wojny — a tak wiele zmian zaszło w życiu Niemiec. Tron, zda się na trwałych podwalinach oparty, — runął. Nadzieje wielkich zwycięstw sczezły. Zostało rozgoryczenie i wynaturzone szukanie wyżycia nagromadzonej nienawiści. Pokolenie Bismarcka wymarło, pokolenie Wilhelma II przerodziło się w obóz nienawidzący republiki weimarskiej. Ludzie 1848 roku nie znali nienawiści rasowej: wspólnik w drodze do władzy mieszczaństwa, doświadczony kupiec — Żyd przekształcił się w owego „winowajcę", na którego można było przerzucić ciężar winy. Młody heglista Marx, zanim jeszcze odnalazł swą właściwą drogę, widząc przed sobą tylko kapitalistów żydowskich, nie znając biedoty „Ostjuden", obciążył z iście młodzieńczym pędem do uogólniania cały naród żydowski za grzech **zwycięstwa** kapitalizmu. Nowa opozycja republiki weimarskiej obciążyła Żydów odpowiedzialnością za wszystkie klęski kapitalizmu. Cóż za niezwykły paradoks dziejów! Jeszcze niedawno Lord Beaconsfield — (Disraeli) uosobienie imperjalizmu angielskiego; jeszcze niedawno Harden, rzecznik reakcji niemieckiej; niedawno jeszcze młody Marx miotał swe najostrzejsze młodzieńcze strzały w Żydów jako uosobienie oligarchji finansowej, a potem, prowodyrzy reakcji niemieckiej „zdemaskowali" cały naród jako ludzi lewicy, agentów bolszewizmu i głównych sprawców klęsk Niemiec.

Paradoks, którego nie przewidział Harden. Najprawdopodobniej tych wydarzeń nie rozumiał nigdy. Zrozumiał tylko, że nadeszły czasy, o których marzyli ludzie 1848 roku. Sądził również, że teraz nadszedł czas, gdy on, człowiek pióra, zasłużony w walce przeciw Wilhelmowi, erudyta — otrzyma władzę. Rzuci pióro. Zostanie ministrem spraw zagranicznych, ba, kanclerzem!

Pióro, artykuł był dlań trzydzieści lat surogatem władzy. I nieraz wyobrażał siebie w postaci wielkiego władcy. Oto scena, którą opisuje Theodor Lessing: „Postanowiliśmy udać się do ogrodu zoologicznego i tam na spacerze, wśród zieleni zakończyć naszą rozmowę. Wyszedłem na korytarz, by wziąć laskę i kapelusz. Harden pozostał jeszcze w pokoju, by ubrać się przed wielkiem lustrem. Rozmawialiśmy poprzez nawpół otwarte drzwi. Rozmowa była bardzo ożywiona i stanąłem na progu, spoglądając do pokoju: ujrzałem go przed lustrem, gdy nie wiedząc, że go obserwuję, wkładał swój letni kapelusz i starał się spod niego wydobyć napoleoński kosmyk włosów. Nasz wzrok skrzyżował się w lustrze przez chwilę. I mój wzrok zapewne wyrażał zakłopotanie, kiedy ujrzałem uwielbianego człowieka w chwili tak niegodnej czynności"...

Zapewne, nie była to tylko poza — jak sądzi Lessing — bo w tym geście Hardena tkwił kompleks, tak ciążący na wielu pisarzach, dla których pióro jest surogatem **władzy**, tej władzy, której może nigdy nie osiągną. Gdy więc nadeszły dni republiki weimarskiej i Harden ujrzał u steru państwa ludzi, jak Noske, Stressemann, Ebert, ludzi, których on, wielbiciel junkrów nie mógł szanować, sądził, że nadszedł jego czas. Publicysta, który oddał swe pióro na usługi reakcji niemieckiej i dopiero po wojnie zrozumiał sens swej walki, człowiek, który teraz dopiero począł myślami wracać do ludzi 1848 roku, pisarz, który całe swe życie, w imię złudnej niezależności, pozostał poza wielkiemi partjami społecznemi — usiłował zdobyć władzę. Usiłował? Zbyt wiele zapewne. Raczej przypuszczał, że ta władza przypadnie mu sama w udziale.

Ale pozbawiony światopoglądu, umożliwiającego mu analizę realnych sił społecznych w kraju, pisarz, dla którego polityka była tylko zawsze grą teatralną, podczas której wygłaszał piękne, pełne błyskotliwych słów monologi, nie rozumiał co się dzieje wokół niego. I nie zrozumiał tej rzeczywistości nawet wtedy, gdy „nowi ludzie" reakcji nasłali nań młodego chłopca, by jego — przyjaciela kanclerza Bismarcka — uderzyć łomem w głowę. I nie zrozumiał wtedy, gdy leżąc ciężko ranny czytał o tem, że jego Berlińczyka, jakieś pismaki nazwały „Izydorem Witkowskym z Galicji". I nie zrozumiał wtedy, gdy znowu stanął przed sądem, który uniewinnił skrytobójcę, tego co śmiał w nocy, stylu zaatakować człowieka, dla którego mieli tyle szacunku nawet ludzie Wilhelma II.

Harden zmarł w tragicznem osamotnieniu. Theodor Lessing zginął z kuli nasłanych na terytorjum Czechosłowacji zbirów hitlerowskich. Tylko epigon wielkiej szkoły publicystyki niemieckiej, powierzchowny grafoman Emil Ludwig zdołał zostać na powierzchni, sławiąc kolejno wszystkich dyktatorów i zadowalając niewybredne gusty pewnego gatunku publiczności.

Ukojony swą sławą nie widział Harden wokół siebie wilczych dołów: odszedł od chlubnej tradycji swego ojca, pokolenia szermierzy postępu. Ten herold reakcji niemieckiej sądził — a iluż to jeszcze młodych trwa w tej złudzie samooszukiwania — że kroczy własną, samodzielną drogą. Nacóż zdał się ten wysiłek błyskotliwego umysłu, erudycji, ten zapał temperamentu i werwy dziennikarskiej? Pozostały i pozostaną — mimo chwilowej fali barbarzyństwa — wielkie nazwiska Heinego i Börnego, nie tylko poetów, ale i publicystów, autorów świetnych „Listów francuskich", szermierzy zbratania kultur, bojowników **wielkich** prądów społecznych.

A Harden? — Pożółkłe zeszyty starych numerów „Zukunft", przygodnie odnalezione w koszach ulicznych sprzedawcy książek. Kilka książek, odszukanych z uporem i ciekawością, z jaką przybywając do miasta rodzinnego pragniemy ujrzeć dziewczynę, którą się obdarzało pierwszą miłością. Kilka książek zwróconych z rozczarowaniem, z jakiem odchodzimy, widząc miast młodej twarzy, zmarszczkami zoraną, naszminkowaną twarz. Cóż bo zostało z owych majaków, młodzieńczych marzeń o samotnej, donkichotowskiej walce z wiatrakami naszych czasów? Z owych kwiecistych, wyszukanych, pięknobrzmiących słów? Tyle, co szminki na twarzy aktora po skończonej grze. Tyle co papierowej korony po balu maskowym.

Odol dezynfekuje i odświeża jamę ustną i utrzymuje piękne zdrowe zęby.

Odol

PŁYN DO UST

Dr. Stefan Rudniański, doc. Wolnej Wszechnicy Polskiej: Idea wychowania społecznego w dziejach myśli pedagogicznej. (Szkice z historji wychowania). Nowa Bibljoteka Społeczna, Warszawa, 1938; str. 200, 16 portretów, cena zł. 3.

Intencją niniejszej książki jest pomóc czytelnikowi „zająć jasne i wyraźne stanowisko w walce... dwóch orjentacyj pedagogicznych" (słowa przedmowy), t. zn. dwóch przeciwstawnych koncepcyj wychowania społecznego. W tym właśnie celu wyświetla ich rodowód dziejowy, mając szczególnie na względzie ideologję społeczno-pedagogiczną wybitnych postaci historycznych, jak Platona i Arystotelesa, Encyklopedystów francuskich, działaczy Wielkiej Rewolucji Francuskiej, K. Fouriera, T. Morusa, J. Bellersa i inn.

Z szczęśliwej serji...

Zł. 10.000

na nr. 35.666

Zł. 10.000

na nr. 99.297

oraz wiele wygranych poniżej 10.000 zł. padło już w drugim dniu ciągnienia pierwszej klasy na losy zakupione w niezmiennie szczęśliwej kolekturze

„NADZIEJA" LWÓW LEGJONÓW 11

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

LUDZIE WŚRÓD PAJĘCZYN*)

Po długich medytacjach uchwalono, że chyba trzeba posłać jeszcze raz od Margośki do jakiego doktora. Ale już nie do miastowego, ino do „chłopa“ w Irkowej. Ten napewno znajdzie lek na matczyną chorobę. Zdaleka chodzą ludzie do niego, znaczy się, że dobry z niego doktór, choć tylko prosty chłop. A że tamci krzyczą — nie dziwota: interes im przecie psuje. Szkoda, że nie rozpatrzą tego, iż sami sobie winni. Popuka taki, pokręci nosem i... już suchoty. Na zawołanie. Ci miastowi u każdego nic tylko suchoty widzą. Długie leczenie, niejeden na tem zarobi. Całe szczęście, że ludzie wsiowi nie są tak strachliwi. Inaczej — cała chudoba poszłaby na doktorów.

Michał mruknął coś pod nosem niewyraźnie, a po chwili już całkiem wyraźnie rozkazał Józkowi, wdyrdy poszukać flaszki na mocz. Niechże ludzie nie myślą, że on o babę nie dba. Niech widzą!

Józek wnet się przekonał, że z tą flaszką to nie jest sprawa tak łatwa, jakby się zdawało. Przerzucił cały strych, przeszukał zapajęczone schowki komory i — bez rezultatu. Były wielkie, były małe, były straszliwie brudne, ale nigdzie takiej, któraby pasowała do słów ojca: „Ani za mała, ani za duża“. Skąd wziąć taką? Stworzyć czy co?

A tymczasem jakby się uwzięli. Co chwilę ktoś przylatuje z pyskiem, że głupiej flaszki znaleźć nie może, że jest guzdrała, niedojda, leń. A gdy wkońcu zamigotał we drzwiach cień ojca, Józek doreszty stracił orjentację. Teraz to już żadnej flaszki nie widział: ani dużej, ani małej.

— Grzebiesz i grzebiesz, a masz pod ręką. Ta będzie odpowiednia!

Właśnie „tej“ Józek nie chciał widzieć. Cała oblepiona jakąś maścią, że wstręt bierze dotknąć się takiego paskudztwa. A może każą oczyścić? Strach pomyśleć.

— Prędzej! Poco szukasz po kątach, kiej ta całkiem odpowiednia.

Nic nie pomogło. Trza było wziąć, choć ze wstrętem, okropną flaszkę, by uniknąć czegoś gorszego. Z ojcem niema śpasów. Wszystko dziać się musi podług jego woli.

Leniwie wlecze się Józek do kuchni. Policzki nabrzmiewają mu tłumioną złością. Ma całkiem wyraźne przeczucie, że każą jemu zabrać się do czyszczenia tego paskudztwa. Komużby? Że też u nich niema w chałupie jakiejś starszej siostry. Gdzieindziej są, całe chmary, tylko u nich niema. Sam drób. Józek największy. Wciórności! Jak potrza do jakiej roboty, zaraz jego widzą. Albo z tem choróbskiem matczynem. W całej wsi nikt nie choruje, tylko akurat tu, u nich. Ojciec niby taki mądrala, a temu zaradzić nie umie. Ale niechby już tam wszystko było, jak chciało, żeby ino od tej flaszki dało się jako wywinąć. Zresztą, spróbować nigdy nie zawadzi. Więc ubrawszy w ojcową powagę, krzyczy na młodszą siostrę tonem rozkazującym:

— Umyj-no, Maryśka, ino wdyrdy, bo pilne!

Cóż, kiedy wmieszał się zaraz ojciec.

— Nie da rady. Wypłócz sam!

Zaczęła się mordęga. Chłopak leje wodę, sypie popiół, trzęsie flaszką na wszystkie sposoby — i nic. Jaka była, taka jest. Żadnej zmiany nie widać. Skaranie! Wściec się można, a brud i tak nie puści. Co robić? Mozolić się w nieskończoność? A miał właśnie iść do Ferdka Furgonia, te perłowe gołębie zobaczyć. No, i idźże! Ale coś trza robić, żeby z tem skończyć. Tylko co? Już wie. I zaczyna ściskać flaszkę z całych sił. Może pęknie i będzie spokój.

Lecz flaszka i w tym kierunku okazuje zdumiewającą odporność. Tego się Józek nie spodziewał. Chłopcu opadają ręce. To już chyba niema żadnej rady.

Zrezygnowany, postanawia nie myśleć o niczem. A broń Boże, o gołębiach! Ulokowawszy wzrok na obrazie św. Michała, który na ogromnej wadze miętosi dusze ludzkie, Józek potrząsa flaszką machinalnie, bez wiary w powodzenie, sam obojętny na wszystko. Puści brud, czy nie puści, nic mu do tego. On zrobi swoje, a flaszka jak sobie chce. Niechta już wszystko będzie podług woli ojca. Nawet lepiej, że nie puszcza: ojcu na złość.

— Idzie do nas „ciotka z miasta“! — wrzasła nagle Marysia, wpadłszy jak strzała do izby. — Już jest za kępą.

W domu nastało poruszenie. Ciotka — niebyle jaka osoba, rzadki gość! W mieście od lat służy, u jakiegoś „pęksyjorza“. Nie narobi się, a życie ma letkie. A ponoć i ten dom z ogródkiem pęksyjorz ma jej zapisać, czy już zapisał. Niema co mówić: poszczęściło się ciotce. Na panią wyszła.

Nic dziwnego, że jej przybycie stwarzało zawsze atmosferę świątobliwej powagi. Oprócz przysmaków i wielu innych podarunków wnosiła także autorytet, przeciw któremu nikt dotychczas nie odważył się wystąpić. Starszej kobiecie, z miejska ubranej, po miejsku gadającej, było z tem wielce do twarzy. Zachowywała się jak u podwładnych. Oczywiście — z wyrozumiałą pobłażliwością. Być może, iż w ten sposób chciała sobie powetować wieloletnie nadskakiwanie swemu rozkapryszonemu chlebodawcy, z każdym dniem bardziej dziwaczejącemu i bardziej nieznośnemu. Tu na wsi stawała się znów sobą, co ją wielce pokrzepiało na duchu.

Tym razem wytworzył się całkiem inny nastrój. Niby przyszła odwiedzić chorą siostrę, a zachowuje się jak nie u chorego. Razporaz podnosi głos i krzyczy. Rzecz niesłychana! Józka to bardzo intryguje. Co się ciotce stało? Machając flaszką, pilnie nadsłuchuje. Lecz jakoś nie może wyrozumieć, o co chodzi. Z dziwacznych urywków rozmowy domyśla się, że z matką jest źle i że ojciec coś w tem zawinił.

Józek omal pod sufit nie podskoczył z radości i ze zdziwienia. Ojciec?! Ktoby się spodziewał? To nawet dorosły człowiek może coś przeskrobać! Nadzwyczajne!

Teraz za wszelką cenę usiłuje chłopak zdobyć dokładny pogląd na całość ojcowego przewinienia. Musi to być ciekawa historja. Czyszczenie flaszki jest mu bardzo na rękę. Udając, że go całuśki świat nic a nic nie obchodzi, niby to robi swoje, a równocześnie z największem skupieniem chwyta każdy wyraz, każdy szept.

— ...to ją dobije. Kobieta w takim stanie dziecka mieć nie powinna.

— Jakiego „dziecka“? — myśli Józek.

— Widziało się... — chce się tłumaczyć ojciec, lecz mu ze słowami jakoś ciężko.

— E, co się widziało! Dawno jest widoczne, że suchoty. A „to“ ją doreszty dobije. Matka kipnie, z dziecka też żadnej pociechy nie będzie. Prędzej czy później pójdzie za matką.

— Wola boska.

— Rozumie się! Najwygodniejsze postawienie kwestji. Bogiem się zasłoni, i robi swoje, nie zważając na nic. Co za chamstwo! I żyć tu na wsi!

Michał zaczął odpowiadać coraz opryskliwiej, co się nigdy przedtem nie zdarzało. Mówił coś o spowiedzi, że krzyku od księdza słyszeć nie chce, że co ma być, to będzie, ponieważ opatrzność rządzi światem a nie ludzie. Że połowa tych mądrości ludzkich, to wymysł lucypera, to bałamuctwa komunistów.

Józek prawie nic nie rozumiał. Próbował posklejać usłyszane zdania, lecz nie miały sensu. O jakiem dziecku mówili?

Zrozumiał cośniecoś z tego za parę tygodni, gdy pewnego dnia ojciec zniósł ze strychu kołyskę, zaś w drugiej izbie zaczęło coś piszczeć jak kocię.

— Mam siostrunię, mam! — wrzeszczała Marysia, klaszcząc w dłonie. — A ty co masz? Figę z makiem! Dobrze ci tak!

Józka uderzyło jedno: jak mądrzy są ci dorośli ludzie. Nawet o takich sprawach mogą naprzód mówić i nie pomylą się.

Wyłoniła się kwestja, jakie dać imię dziecku. Józek był za Stefką. Lecz Marysi ubzdurało się coś, że najładniej byłoby wołać: Tereska.

— Powiedzcież, mamo, które wam się widzi imię ładniejsze?

Matka przechylała się raz w tę, raz w tamtą stronę. Gdyby Maryśka ucichła z tą jakąś Tereską, możeby usłuchali Józka. No i Marysia ucichła wreszcie, ale chłopak stracił na ten cel skarbonkę. Zresztą i tak stała wciąż próżna, więc strata niewielka. Najważniejsze, że stanie się podług jego woli. Bo ostatecznie wszystko mu jedno: Stefka czy Tereska...

Chrzciny odbyły się na trzeci dzień. Wiadomo, żyda ani pogana nikt na wsi dłużej trzymać nie będzie w domu. Do kościoła był spory kawał drogi. Kumotrowie zmówili se furmankę, pojechali z paradą. W południe byli spowrotem.

— Jaki aniołeczek piekusiany! —piszczała Marysia, tarmosząc węzełek, ukrywający ludzką okruszynę. — Moja Teresia, moja!

Okazało się, że ani Teresia, ani Stefka, tylko Kasia. Tak się spodobało chrzestnej, tak jest. Na wiadomość o tem Józkiem aż szarpnęło coś ze złości. Nie mogąc ukryć irytacji, odważył się krzyknąć w całe gardło, że jakiejś tam Kaśki nigdy kołysał nie będzie. Raczej niechby już ochrzcili Kordulą.

Chrzestna czuła się tem obrażona. Patrzcie, taki mały, a już dowodzi. Jaki przemądrzały!

— Co ty se myślisz? Przecie Katarzyna to ważna święta! Wiem dobrze, bo jest moją patronką. Jak pójdziesz kiedy na odpust do Kamionki, to się dowiesz. Teraz idźże do małej i zakołysz, bo popłakuje.

— Niechta już kołysze ta wasza patronka! — krzyknął i uciekł w pole.

Oprzytomniał za stodołą. Próbuje pozbierać myśli. No, przynajmniej nagadał tej babie. Bo jak śmiała wtrącać się do nieswoich rzeczy? Ale dziwne, że ojciec wcale się nie odezwał. A jeszcze dziwniejsze, że już minęło sporo czasu, a jakoś nikt go nie woła. Co oni tam robią? Cóżby innego jak to, co na chrzcinach: jedzą buchty, piją kawę i gadają. A o nim nikt sobie nie wspomni.

To doprowadza chłopaka do ostateczności. W dodatku jak na złość, zdaje się mu, że czuje zapach kawy i buchty. Już chciałby się rozpłakać, ale nie może. Jeszcze się łudzi, że może go zawołają. Może sobie wspomną o nim i zawołają. Nadsłuchuje. Wszędzie cisza. Teraz to już koniecznie chciałby się rozpłakać. Ale łzy gdzieś się zaparły kołkiem i ani rusz. Dławią go, a płakać nie może. No... już wie, co zrobi. Legnie sobie na mokrej łące. Niech będzie mokra, prędzej się rozchoruje. Wtedy będą latać koło niego... będą się pytać, czegoby chciał, coby zjadł. Nawet jajecznicy usmażą. Niech latają, niech się kłopocą! To będzie odwet za dzisiejsze zapomnienie.

Zdaje się, że Józek zemsty nie dokonał. Z matką było coraz gorzej. Zaś Kasia darła się coraz częściej i coraz głośniej. Zdawało się, że ludziom uszy popuchną. Ktoś nawet słusznie zawyrokował, że dziecko rozpuknie się od takiego krzyku. A szkoda, bo z Kasi ładna dziopka. Gdyby biedactwo było starsze, możnaby temu uwarzyć miętki albo czego. Ale tak... Toć to do matczynej piersi zabrać się nie umie.

Na szczęście trafił się raz Żyd, co chodził po wsi za króliczemi skórkami. Ten poradził lekarstwo, odrazu wzbudzające zaufanie. Należy poprostu złapać pająka, rozetrzeć na brzuszku dziecka, a bóle jak nic opuszczą. Czy istotnie był skutek, trudno osądzić. W każdym razie, jak tylko Kasia popadła w stan krzyczącej ekstazy, wówczas w chałupie zaczynały się dziać rzeczy osobliwe. Ludzie chodzili po stołach, wspinali się po ścianach, zdejmowali obrazy wiszące pod sufitem, odsuwali sprzęty, skutkiem czego sypały się tumany kurzu i śmiecia przeróżnego. Gdy wreszcie ktoś krzyknął magiczne słowo „mam“, oddychało się z ulgą niewysłowioną. Potem następował sam zabieg leczniczy. Często, gdy poszukiwanie przeciągło się ponad normę, w chwili rozpoczęcia ciekawego masażu tak już dziecko było wyczerpane krzykiem, że tylko zipiało i piszczało, jak porzucone kocię. No i wreszcie cichło zupełnie. Wówczas babięta dziwowały się okrutnie.

— Ktoby to pedział, że z takiego pająka mizernego, co ino ściany paskudzi, jakiesi lykarztwo być może? Ktoby się spodziewał.

Gorzej było z matką, bo jej żadne lekarstwa nie pomagały. Marniała z dnia na dzień. Sąsiadki lamentowały.

— Za dużo z was kwie uszło wtedy, moiściewi, i bez to wam teraz gorzej. Żebyście ino na „wywód“ jako obyjś mogli. Droga doś dobra, obyjdziecie. Pomalutku se pójdziecie, bo nie nowała się wam śpieszyć. Po wywodzie lubi się czasem dziecko odmienić.

Margośka długo się wahała z tym wywodem. Zajdzie czy nie. Jednego dnia poczuła się trochę lepiej, więc poszła. Myślała, że sobie kogo zmówi do dźwigania dziecka, ale se rozważyła: możeby stary mruczał, albo co... Darmo nikt nie pójdzie.

No i obeszła. Ale jak się potem położyła, więcej nie wstała. Kawęcała jeszcze kilka miesięcy.

Jednego wieczora, jak zwykle, przyszła sąsiadka wydoić krowy. Potem nalała mleka do garnuszka i kazała Marysi, by zaniosła mamie. Dziewczynka wróciła ze skargą, że mama nie chcą mleka.

— Czy pedzieli, że nie chcą?

— Nic nie pedzieli, ale nie chcą.

— Skąd wiesz? Pewnie ciebie łoskomina bierze, dlatego tak mówisz.

Marysia broni się przed zarzutami. Pod sprawością, nic ją nie bierze, a już żadna łoskomina. Wołała, ciągła za rękaw, ale się nie ruszyli. Cosi strasznie twardo śpią.

Sąsiadkę coś pikło. Rzuciła skopiec i pobiegła do izby. Ale było już zapóźno. Margośka nie żyła. W izbie wszczął się wielki zgiełk.

Na pogrzeb przybyła także ciotka z miasta. Rozsierdzona była na każdego, kto jej tylko wlazł pod rękę. Tym razem nie dobierała miastowych słów, ale częstowała pierwszem lepszem. Tylko z jednem miała biedę, bo nie wiedziała, kogo bardziej pomstować za śmierć Margośki. Kto zawinił najwięcej? Rozsądek jej mówił, że nie jeden jest winowajca, nie dwóch. Wszyscy winni! Cała wieś! Wszyscy! Razem z temi nieodstępnemi kłopotami o sól, o szmacinę dla dziecka... razem z bydłem nigdy nienapasionem, wiecznie porykującem... razem z bosemi chłodami jesieni, wrzaskiem dziecek anemicznych, gruboskórnością chłopów i tą wieczną, nieustanną troską o jutro, o pojutrze, o zatkanie tych wszystkich gardzieli, wiecznie dopominających się jadła. Chłop po robocie w polu fajkę zakurzy, glon chleba przetrąci, na wyrko się ciśnie i już go cały świat nic nie obchodzi. Niech tam baba lata za wszystkiem, niech obciera zasmarkane dziecka, niech gotuje strawę dla ludzi i wszelakiej żywizny, niech się obrywa ciężarem garów, niech sobie zdziera ręce i nogi, bo i tak nie nazywa się to robotą. Robota jest w polu.

— I żyć tu kobiecie na wsi!

Teraz dopiero widzi ciotka szczęśliwe pociągnięcie, że zrezygnowała z ofiarowanego gruntu na rzecz Margośki. Niby to wielką łaskę siostrze wyświadczyła. Tylko że jakoś zbyt prędko najadła się Margośka tej łaski i tych dobrodziejstw. Odeszła.

Józek przestał płakać. Wykombinował sobie, że krzyki ciotki odnoszą się w całości do ojca. To jest chyba jedyna rzecz, która nie jest smutna. Ponadto ciotka obiecała zabrać go do miasta, gdzie będzie chodził do szkół. Ale co do tego punktu — chłopak nie wie całkiem pewnie, czy się cieszyć czy smucić.

W chałupie przez dłuższy czas było jakoś nijako. Ludzie chodzili osowiali, nie mając sobie nic do powiedzenia. Jedynie Kasia, z niczego sobie nic nie robiąc, darła się coraz częściej i coraz silniej. Nawet pajęcza recepta przestała skutkować. Więc umyślili posłać od dziecka do doktora. Znowu Józek musiał wybrać się do komory na poszukiwanie flaszki, któraby nie była ani za duża ani za mała.

*) Rozdział z mającej się wkrótce ukazać nakładem „Roju“ powieści „Ludzie spod miedzy“.

MITY CODZIENNOŚCI

Adam Ważyk. Mity rodzinne. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 363 i 5 nl.

Linja rozwojowa prozy Ważyka od przeładowanej metaforami książki „Latarnie świecą w Karpowie“ do bardziej trzymających się ziemi „Mitów rodzinnych“ — prowadzi od poetyckiego symbolizmu ku konkrezytacji i realizmowi. Ale prowadzi niedość zdecydowanie. Mimo to, że autor jakby celowo użył tematu wspomnień, o wypróbowanej renomie realistycznej, jego postacie ulegają lewitacji. Nie w kierunku fantastyki, ma się rozumieć, ale w tem znaczeniu, że związki między ich czynami i wypowiedziami podlegają nadrzędnej woli pisarza, który w każdej chwili może wprowadzić nieoczekiwane psychologicznie rezultaty. W świecie Karczów, Wieligockich, Miklasowej, obowiązują zasady urojonej przyczynowości, w niczem nie przypominającej autonomicznego znaczenia zajść rzeczywistych. Sytuacje, rysowane przez autora, nie są mgliste, zamazane; przeciwnie — odznaczają się dużą wyrazistością, plastyką, dokładną pełnią skojarzeń, ale mimo to ich wzajemne związki nie budzą ufności. Ponieważ Ważyk, w myśl recepty proustowskiej, podaje do wiadomości fakty odrazu zinterpretowane, glossowane, przeto wynikanie przy takim porządku rzeczy ogranicza się do związku gloss, podspodem zaś postacie trzymają się luźno swojej linji postępowania. Autor usiłuje wprawdzie wytworzyć perspektywę powieściową i powołuje się na ciepełko wspomnień, ale nie wywołuje tem żywszego udziału emocjonalnego, pozostawia czytelnika chłodnym obserwatorem widowiska, chociaż widowiska o dużym temperamencie intelektualnym.

„Mity“ dotyczą dziejów dwóch rodzin warszawskich, lekarza Karcza i profesora fizyki teoretycznej Wieligockiego w czasie wojny światowej i pierwszych lat powojennych. Opowiadanie nie jest prowadzone ze względu na którąś ulubioną postać, ale przerzuca punkt obserwacji kilkakrotnie, w miarę spostrzegania ciekawszych momentów u nowych ludzi. Zasadniczo jednak autor zajmuje się obszernie młodszem pokoleniem, Karolem, Ewą i najmłodszym Albinem Karczami i Nastką Wieligocką. Dziewięcioletni na początku Albin — zdaje się być głową snującą wspomnienia. W dziejach tych ludzi nie zachodzi nic szczególnego, poprostu dojrzewają, doznają sensacyj miłosnych po raz pierwszy, sprzeczają się, intrygują lub kochają, popadają w ataki histerji, jak np. Ewa w doskonałem starciu z ciotką-dziwaczką Miklasową, żenią się (Karol z Nastką), dają okazję autorowi do popisania się interesującą dyskusją na marginesie nowoczesnych teoryj fizykalnych, między Wieligockim a Maksem, kolegą Karola, i t. p.

Mocniejszy pod względem wyrazu artystycznego epizod z kochanką Karola, Zenobją Ożarowską, która popełniła samobójstwo z nędzy, dowodzi, że autorowi brak właściwie w całej powieści odpowiednio silnego elementu „mitotwórczego“ i tem należy tłumaczyć jej nadmierny werbalizm. Odnoszę takie wrażenie, że gdy się chce przedstawić życie szarych ludzi, prawdziwie i bez sztucznych akcentów literackich, wówczas trzeba wysunąć jakąś zasadę, tezę biologiczną, sprawdzającą się w tym świecie. Tymczasem postacie Ważyka plątają się z kąta w kąt bez żadnego porządku i sam autor właściwie nudzi się potężnie w ich towarzystwie. Toteż gdy przez kontrast natrafia w pamięci na los wyrazistszy, zdecydowany, tragiczny, przemienia odrazu swój udział jako spisywacza tych dziejów: robi się oszczędny w wyrazie, objektywny, nie podpiera swej postaci zewsząd podpórkami scenarjusza i przez to znajduje szczęśliwe zaklęcie na oporną wyobraźnię czytelnika.

Marjan Promiński

Krakowska Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ przynosi co miesiąc tanią i dobrą książkę o charakterze społecznym i popularno-naukowym. Dotychczas ukazały się:

1. Prof. Z. Mysłakowski: Totalizm czy kultura. Cena 1 zł.

2. I. Fik: Rodowód społeczny literatury polskiej, cz. I. Cena 80 gr.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Prenumerata wydawnictw wynosi: kwartalnie (3 książki) 1 zł. 80 gr., z przesyłką 2 zł., półrocznie (6 książek) 3 zł. 50 gr., z przesyłką 4 zł.

Zapisujcie się na prenumeratorów Krakowskiej Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“. Kraków, Sławkowska 12, III p.

JÓZEF LUBOJAŃSKI

KATOLICYZM i SOCJALIZM

„Gdy zatem chce się znaleźć istotne źródło dzisiejszych sympatyj lewicowych, to trzeba go szukać w przeobrażeniach obustronnych, nie tylko w nowym wartkim nurcie katolicyzmu społecznego, ale także w głębokim sceptyzmie wobec materjalistycznej koncepcji życia, który coraz bardziej ogarnia pewne sfery lewicowe w wyniku doświadczeń sowieckich" — pisze dr. Żukowski, referując opinji katolickiej („Wiara i Życie", nr. 9, 1938) mój artykuł o „zmierzchu antyklerykalizmu" („Sygnały", nr 50).

Dość niespodziewanie publicysta katolicki wyprowadza „głęboki sceptyzm wobec materjalistycznej koncepcji życia" z „doświadczeń sowieckich". „Doświadczenia sowieckie" wywołały w obozie lewicowym tylko „głęboki sceptyzm" wobec bolszewizmu jako kierunku politycznego wewnątrz ruchu robotniczego. Jeśli w obozie socjalistycznym niekiedy istotnie pojawia się niechęć do materjalizmu (De Man), to źródeł tej niechęci należy szukać gdzieindziej.

Na ten „odwrót od materjalizmu" trzeba patrzeć z wielką ostrożnością. Nie przeczę, że rolę poważną odegrały tu tendencje, panujące w dzisiejszych naukach przyrodniczych. Stwierdzeniem tego faktu naraziłem się nawet na dość cierpkie uwagi we własnym obozie. Publicyści katoliccy nie powinni jednak zamykać oczu na to, że z wielu stron przeprowadza się rozróżnienie między rzeczywistemi zdobyczami nauk przyrodniczych a ich interpretacją przez uczonych. A potem — czyż gruntowna zmiana, jaka w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu dokonała się w opinjach uczonych o katolicyzmie, nie powinna katolików ostrzec przed wznoszeniem zbyt wielkich budowli na tym dość niepewnym fundamencie?

Staram się zawsze wystrzegać tego schematycznego i często wulgarnego tłumaczenia zjawisk społecznych a zwłaszcza skomplikowanych zjawisk kulturalnych, które często uważa się niesłusznie za prawdziwy marxizm. Niewątpliwie jednak dużo racji mają ci, co w dzisiejszem odrodzeniu katolicyzmu widzą odbicie socjalnego położenia, w jakiem się znalazła inteligencja burżuazyjna. Bo przecież wszystkie te zjawiska, o których tu dyskutujemy, zasięgiem swoim nie wykraczają poza środowisko inteligenckie. Są to zjawiska tego samego typu, które historyk obserwuje wśród warstw wykształconych we wszystkich przełomowych epokach historycznych. Odrodzenie katolicyzmu jest bardzo elegancką w formie, bardzo kulturalną w treści ucieczką w świat mistyki od życia, które bezwątpienia nie jest łatwe dla dzisiejszego pokolenia inteligenckiego. Taka formuła nie tłumaczy wszystkiego, ale tłumaczy dużo.

Katolicy, polemizując z nami, nie rozróżniają między materjalizmem filozoficznym a materjalizmem historycznym, między któremi nie istnieje związek tak ścisły, jak się napozór wydaje. Jeśliby w naukach przyrodniczych na dłużej utrzymały się tendencje nieprzychylne dla materjalizmu filozoficznego, to byłby to niewątpliwie cios dotkliwy dla t. zw. wolnomyślicielstwa. Sądzę, że socjaliści nie mieliby z tej okazji powodu do rozpaczy. Jako socjalista i marxista bez porównania więcej cenię katolicyzm, niż tę płyciznę umysłową, która się u nas rozpleniła pod nazwą wolnomyślicielstwa. Jeśli to t. zw. wolnomyślicielstwo miało stanowić antidotum na obskurantyzm polskiego klerykalizmu, to istotnie chciano klin wybić klinem. Marxizm, jako kierunek społeczno-polityczny, opiera się na materjalizmie historycznym, który w żadnem ze swoich założeń nie został i nie zostanie podważony.

Przy sposobności dyskusji z katolikami z przykrością przekonywamy się jak mało publicyści katoliccy znają marxizm. Często trudno oprzeć się wrażeniu, że katolicy opierają swoją znajomość marxizmu na wulgarnych elaboratach publicystyki faszystowskiej. Coby powiedzieli publicyści katoliccy, gdybyśmy, polemizując z nimi, nasze wiadomości o katolicyzmie czerpali z Rosenberga? Katolicy nie powinni wierzyć na słowo Piaseckim, Wasiutyńskim, Mosdorfom, że najwłaściwszym przymiotnikiem przy rzeczowniku „marxizm" są przymiotniki „stęchły" i „zgniły". Jestem przekonany, że gdyby publicyści katoliccy w poznanie marxizmu włożyli choć część tego szczerego wysiłku, który my wkładamy w poznanie katolicyzmu, napewno pisaliby o marxizmie z większym szacunkiem. Bezwątpienia, w socjalizmie dzisiejszym trzeba przeprowadzić wiele głębokich zmian. Któryż żywotny ruch społeczny nie odczuwa potrzeby takich zmian? Ale katolicy mylą się, jeśli sądzą, że te zmiany będą polegały na odrzuceniu marxizmu. Czem byłby socjalizm bez marxizmu? Gromadą skłóconych inteligentów, niezdolnych do czynu. Zmiany, których konieczność zarysowuje się w dzisiejszym socjalizmie, muszą polegać właśnie na przepojeniu całego socjalizmu duchem prawdziwego marxizmu, na prawdziwie marxistowskiem przemyśleniu wszystkich problemów, które stoją przed współczesnym ruchem socjalistycznym.

Przy sposobności mała dygresja: od dłuższego czasu nie bez uciechy patrzę, jak inteligentny publicysta katolicki Jan Archita w całym szeregu artykułów udowadnia socjalistom polskim, że są... marxistami. Z prawdziwie benedyktyńską cierpliwością ten kulturalny publicysta gromadzi cytaty Czapińskiego, w których redaktor „Robotnika" w imieniu polskiego socjalizmu przyznaje się do Marxa. Sądzę, że Archita podjął się zbytecznego trudu. Jesteśmy marxistami i nie mamy zamiaru wypierać się tego.

W związku z mojemi artykułami o katolicyzmie poruszono jeszcze raz kwestję wielokrotnie już dyskutowaną: czy można pogodzić katolicyzm z socjalizmem. Publicyści katoliccy (dr. Żukowski, Jan Archita, J. W. w „Sodalis Marianus"), którzy zajęli w tej kwestji stanowisko w związku z mojemi artykułami, podobnie jak ja uznali, że między socjalizmem a katolicyzmem istnieje zasadnicza rozbieżność. Według Archity J. N. Miller a nawet „Robotnik" są innego zdania. Co do mnie, to na podstawie tego, co wiem o katolicyzmie i o socjalizmie, nie zaryzykowałbym twierdzenia, że można pogodzić katolicyzm z socjalizmem na gruncie zasad, na gruncie teorji. Archita ma dużo racji, gdy pisze, że jakkolwiek socjaliści i katolicy w całym szeregu problemów społecznych i politycznych zajmują praktycznie takie same stanowisko (krytyka kapitalizmu, krytyka faszyzmu), to jednak motywacja u katolików i socjalistów jest całkiem odmienna. Czy jednak z tego stwierdzenia należy zbyt prędko wyciągać wniosek, jak to zdaje się czyni Archita, że jakakolwiek współpraca między socjalistami a katolikami jest niemożliwa. Sądzę, że nie.

Katolicy i socjaliści mają pewne dobra wspólne: pewien poziom kultury, pewien zakres wolności, demokrację, żeby wymienić tylko te, które mi się podsuwają pod pióro. To prawda, że my socjaliści całkiem inaczej patrzymy na dzisiejszą kulturę, niż katolicy; inaczej też uzasadniamy potrzebę wolności i demokracji. Ale czyż dlatego nie możemy złączyć naszych wysiłków, kiedy te wspólne dobra zostały zagrożone przez wspólnego wroga? Zastrzegam, że w tej chwili nie stawiam żadnych wniosków praktycznych. Stwierdzam tylko, że taka współpraca jest możliwa. Zresztą w kilku państwach już istnieje. Dr. Żukowski w swoim interesującym artykule wskazuje na przykłady takiej współpracy we Francji, Belgji i Holandji, i stwierdza, że postulat sprawiedliwości społecznej i poszanowanie godności ludzkiej „tłumaczy i usprawiedliwia współdziałanie na polu politycznem katolików z niektóremi grupami socjalistów".

Posunę się jeszcze dalej. Sądzę, że współpraca między socjalistami i katolikami jest możliwa nie tylko jako wspólna obrona przed faszyzmem. Socjaliści i katolicy mogą się spotkać przy pracy pozytywnej i konstruktywnej. Współpraca ta może sięgnąć daleko poza obecnie już praktykowane wspólne wystąpienia klasowych i katolickich związków zawodowych w walce z kapitałem. Narazie możliwość ta istnieje tylko w teorji i nie żywię złudzeń, że może być prędko urzeczywistniona. Ale możliwość taka istnieje. Przecież np. katolickie ujęcie własności prywatnej teoretycznie dopuszcza takie rozwiązanie, które w praktyce niewiele różniłoby się od socjalistycznego rozwiązania. Otwierają się tu perspektywy, nad któremi warto pomyśleć. Przecież publicystyka może i powinna wybiegać myślą naprzód przed dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Gdzieniegdzie moje artykuły zakwalifikowano jako ofertę pod adresem polskiego obozu katolickiego. Dla uniknięcia nieporozumień chciałbym tę sprawę wyjaśnić. Na szczęście nie jestem zmuszony pisać moich artykułów pod kątem widzenia doraźnych potrzeb taktyki politycznej. Sprawa nawiązania współpracy między katolikami i socjalistami na gruncie politycznym i zawodowym należy do powołanych władz P. P. S. i Stronnictwa Pracy lub klasowych i katolickich związków zawodowych. Natomiast publicystyka może się przyczynić do wyjaśnienia atmosfery i ustalenia punktów stycznych, na których możnaby taką współpracę oprzeć. Taka myśl nie jest mi obca i wcale jej w moich artykułach nie ukrywam.

I tu znowy dygresja pod adresem Jana Archity, który jest pełen podejrzeń wobec publicystów lewicowych. Zdaniem Archity publicystami socjalistycznymi, którzy interesują się katolicyzmem, kierują dwie myśli: 1) chcą wciągnąć katolików do walki z faszyzmem a ich zainteresowanie katolicyzmem wypływa wyłącznie z pobudek politycznych; 2) chcą przez przeciwstawienie katolików-totalistów katolikom-demokratom wywołać rozbicie w obozie katolickim. Otóż jeśli o mnie chodzi, to zapewniam Architę, że całkiem niezależnie od pobudek politycznych, katolicyzm dzisiejszy interesuje mnie jako ciekawe zjawisko kulturalne. Jako Polak, któremu nieobojętny jest poziom kultury polskiego życia społecznego, szczerze cieszę się z tego, że katolicyzm polski powoli wznosi się nad poziom Niepokalanowa. Oczywiście, jak poprzednio wspomniałem, nieobce mi są określone intencje polityczne. Więc cóż z tego? Czy to jest powód, by katolicy polscy stale czuli się w roli kuszonego przez szatana?

Archita ma do publicystyki socjalistycznej pretensje, że interesuje ją tylko polityczno-społeczna i kulturalna strona katolicyzmu, natomiast „o katolicyzmie jako religji nie pisze się bodaj nic zgoła". Nie rozumiem takiego stanowiska właśnie z punktu widzenia katolickiego. Czyż Archita chce, żebyśmy na łamach pism lewicowych wdawali się w dysertacje teologiczne? Profesor Karol Adam w swej pięknej książce („Istota katolicyzmu") powiada: „To zbadanie istoty katolicyzmu uskutecznić może tylko katolik, którego wiara jest żywa. I tylko on jeden. Istota katolicyzmu o tyle tylko ukaże się badaczowi o ile on do tej pracy przynosi z sobą serce". Uznaję słuszność takiego stanowiska. Nie-katolik może zająć wobec religji dwojaką postawę: albo odnieść się do niej z pogardą, jako do zabobonu i „opjum dla ludu", albo też zachować szacunek dla cudzej wiary. Zajmuję tę drugą postawę. Nas nie interesuje religja jako religja. Natomiast żywo nas obchodzą polityczne, społeczne i kulturalne konsekwencje religji, które znajdują swój wyraz w postawie kościoła i katolicyzmu jako ruchu społecznego.

Publicyści katoliccy do dyskusji na temat zbliżenia między katolicyzmem a socjalizmem wprowadzają jeden ton, który brzmi dość niemile. Mają oni skłonność rozpatrywać całe zagadnienie z punktu widzenia tego, co katolicy określają jako „rybołóstwo dusz". Brzmi to trochę jak kupieckie: „co mi to może dać?" Na publicystów lewicowych, którzy z szacunkiem wyrażają się o katolicyzmie, patrzy się w obozie katolickim jak na kandydatów do „nawrócenia". Sądzę, że powinno się unikać takiego stawiania sprawy. Tu nie chodzi przecież o wzajemne wykradanie dusz. Kwestja jest taka: czy jest możliwa współpraca między katolikami a socjalistami? Jeśli tak, to w jakich dziedzinach i pod jakiemi warunkami? Jeśli współpraca nie jest możliwa, chcemy walczyć, ale na poziomie godnym katolicyzmu i socjalizmu. Polemizując z katolikami chcielibyśmy, żeby przeciwko nam występowali nie misjonarze lecz publicyści.

A jeśli już mowa o nawracaniu, to sądzę, że katolicy nie powinni wyciągać zbyt daleko idących wniosków z tego, że jeden lub drugi głośny socjalista pod koniec swoich dni stał się katolikiem, nie mając odwagi w obliczu śmierci wyrzec się widoków na wieczność. Wierzę, że być za życia prawdziwym katolikiem wymaga wielkiej odwagi i wielkiego samozaparcia, ale umierać ateistą to bohaterstwo, na które nie każdy umie się zdobyć.

Katolicy przychodzą do nas ciągle. I to nie starzy, których ogarnął strach przed śmiercią, ale przeważnie ludzi młodzi, którzy nie znaleźli w dzisiejszym katolicyzmie — jakże często jeszcze katolicyzmie „wczorajszym" — możliwości urzeczywistnienia pięknych zasad ewangelicznych. Ale my nie mamy zwyczaju witać każdego nowego żołnierza fanfarami.

MILAN RAKIĆ (1876—1938)

Nad młodą, lecz pełną nadziei i rozmachu literaturą jugosławiańską zawisło w tym roku nieubłagane fatum. Co parę miesięcy wydziera jej jedną twórczą pozycję, zwłaszcza z szeregu pisarzy serbskich. Zmarł przedstawiciel serbskiej „dawności" i pierwszorzędny komedjopisarz Branislav Nušić, odszedł przedwcześnie głęboki mistyk, subtelny liryk i dramaturg Momcilo Nastasijević, a wreszcie najniespodziewaniej dokonał w Zagrzebiu żywota bezsprzecznie największy współczesny poeta serbski, Milan Rakić.

Należał do poetów zarówno oszczędnych, jak wewnętrznie bogatych. Cały pomnik nieśmiertelnej sławy zbudował sobie sześćdziesięciu wierszami, niczem Alfred de Vigny. Ale do czego się wziął, to w złoto przemieniał. Mawiał zwyczajnie

Milan Rakić

swoim przyjaciołom, że prawdziwy poeta nie pisze poezyj, lecz je przeżywa. Wiersz jest kwintesencją tych przeżyć, jest krótką spowiedzią, tem płomienniejszą i szczerszą, im jest rzadsza. Czasem raz w roku, czasem częściej, w zależności od tego, ile nagromadziło się emocjonalnego kapitału. Zasadę tę stosował sam poeta z idealną ścisłością. Kapitał gromadził żyjąc w atmosferze wysokowartościowej sztuki. Oddawał się namiętnie muzyce grywając godzinami klasyków, zwłaszcza zaś Chopina. Wykształcony i przeważnie wychowany we Francji miał łatwy dostęp do jej literatury, a zwłaszcza liryki, i możność wysupłania z niej dla własnego narodu tego, co uważał za wartościowe. Uwielbiał Wiktora Hugo i Sully-Proudhomme'a. Ale nie przeszczepiał żywcem obcego ducha na rodzinną w dużej jeszcze mierze odłogiem leżącą glebę. Raczej wydobywał z niego sens piękna i ten ubierał w formę wiersza serbskiego, który doprowadził do doskonałości. Pod tym względem nie miał sobie równego w literaturze Serbów. Tworzył strofy niczem rzeźby, o rytmie mocnym i uroczystym, o stylu jasnym i efektownym. Szukając wzoru na własnym terenie nie wahał się sięgnąć ku sławnej serbskiej pieśni ludowej, czerpiąc z niej zarówno bogate środki wyrazowe, jak i natchnienie.

Pochodził Rakić z Belgradu, gdzie też wystąpił po raz pierwszy z kilku wierszami, odrazu doskonałemi. Ich poziomu ani nie wywyższał ani nie zniżał do śmierci. Spoczątku barwił swoje wiersze modnym pesymizmem i melancholiczną rezygnacją. Szybko jednak poddał się spokojnemu stoicyzmowi. Przy całej efektowności wiersza cechuje go do końca życia wspaniały, wprost filozoficzny umiar. Nawet gdy uderzał w nutę patrjotyczną i sięgnął tematem do bohaterskiej przeszłości własnego narodu, nie dał się ponieść szczególniejszej wzniosłości. Był — jak pisał w zaraniu jego twórczości największy krytyk serbski, Jovan Skerlić — myślicielem bez pedanterji, głębokim bez niejasności, wymownym bez emfazy, lirycznym bez patosu, — godnym miana nowoczesnego poety.

Jak większość współczesnych znakomitych literatów jugosłowiańskich tak i Rakić pełnił funkcje w dyplomacji. Przeszedł wszystkie jej stopnie, od konsularnego sekretarza po ministra pełnomocnego. Był w miastach dawnej Turcji, nakoniec w Bukareszcie, w Stockholmie, w Sofji i Rzymie. Stykał się z rozmaitemi kulturami, które jednakże nie odbiły się na jego wierszach i nie zachwiały ich równowagi. Raczej wpłynęły na to, że sczasem pisywał coraz rzadziej, milknąc nieraz całkowicie na szereg lat, aby błysnąć niekiedy jednym wierszem. Literaturze jugosłowiańskiej oddał ogromne usługi. Wykształcił jej formę i doprowadził do szczytu. Ale jej przez śmierć swoją nie osierocił. Zostawił swego poetę-przyjaciela, nawet głębszego a także płodniejszego, jakkolwiek w formie mniej doskonałego, Jovana Ducića, który dziś niepodzielnie dzierży palmę pierwszeństwa w serbskiej literaturze.

Wiersze Milana Rakića tłumaczono obficie na język francuski, niemiecki, węgierski, bułgarski, rosyjski, włoski i t. d. W Polsce są prawie nieznane. I w tym wypadku daje o sobie znać nasza obojętność na zjawiska kultury narodów od nas słabszych, nasza ich ignorancja, oparta na uporze i nieuzasadnionem uprzedzeniu.

Marjan Jakóbiec

W poprzednim (55) numerze „Sygnałów" z dnia 15 października: **Stefan Wodwicz:** Problem wodza. — **Mieczysław Haresz:** Józef Piłsudski i Stanisław Brzozowski. — **Józef Wittlin:** Gazeta. — **Seweryn Sosnowski:** Pojedynek Lermontowa. — Jubileusz „Sygnałów". — **Jerzy Wyszomirski:** Żółw i Achilles. — **Adolf Sowiński:** Stefan George. — **S. Kleinerman:** O „Ziemi obiecanej" Reymonta. — **Franciszek Gil:** C. O. P. — **Jerzy Bossak:** Sprawy filmowe i recenzje filmowe. — **Stanisława Bartnicka:** Fraszki polityczne. — **Juljusz Krajewski:** Świat w karykaturze (rys.). — Oblicze dnia. — Korespondencja (**Konstanty Anselm, Józef Lubojański, Włodzimierz Słobodnik, Jerzy Kamil Weintraub**). — 8 ilustracyj. — 8 stron.

List do Jakóba Thibault*)

Jakóbie, mój drogi Jakóbie — wolno mi Cię tak nazwać, znam Cię przecież od tak dawna. Widziałem, jak się w Tobie rodził bunt i jak narastał coraz dojrzalej, coraz mądrzej i goręcej. Śledziłem z zapartym oddechem Twoją walkę o drogę własną, trudną i niebezpieczną, jak błękitne lodowce Alp, o drogę do wyzwolenia człowieka. Sam idę tą drogą i wiem jak ciężka jest. I dlatego jesteś mi drogi — tak jak każdy człowiek ofiarny w walce ze złem i krzywdą ludzką.

Jakóbie, mój drogi Jakóbie — świat wije się w straszliwych konwulsjach wojennych. Ty wiesz co to znaczy — Ty przeżyłeś już raz taki koszmarny dramat ludzkości. Potworny dramat, którego reżyserzy uszli zemście aktorów, okaleczałych i wynędzniałych, zapełniających do dziś stolice i wsie na całej kuli ziemskiej. Pamiętasz te niezwykle upalne dni lipcowe, naprężone do bólu wyczekiwaniem? Dziś, jak 24 lata temu, zastygli z przerażenia patrzymy na barbarzyński taniec mieczów, inscenizowany przez tych samych reżyserów. Potworna machina wojenna, gorączkowo i namiętnie montowana przez te same co przed laty zbrodnicze ręce lada chwila runąć ma na całą znękaną ludzkość, by pogrążyć ją w otchłani łez i rozpaczy. Brunatna bestja apokaliptyczna szarpie niecierpliwie wędzidło: jeszcze moment — a jej tętent okrutny rozniesie się po całej ziemi. Stalowa powódź, morze płomieni i chmury iperytu zniszczyć mają kulturę, zatrzeć wszelki ślad postępu ludzkiego.

Tak, Jakóbie Thibault.

Właściwie dzieło zniszczenia już się rozpoczęło. W gruzy padają kunsztownie wzniesione gmachy — świadectwo dumnego ducha ludzkiego, zarozumiałego, że tworzy nieśmiertelne dzieła, które przetrwają wieki. Oto zimna i okrutna ręka interwentów w perzynę je obraca.

Pamiętasz? Nie mogłeś pojąć w owe upalne lipcowe dni, żniwami dzwoniące, jak to się stało, że zapewnienia ludzi, którym wierzyłeś, którym chciałeś wierzyć, rozwiały się, jak nieszczery sen. Gdzieś tam w Genewie siedział człowiek, którego Twoi towarzysze nazwali sekciarzem. On znał tajemnicę Twego rozczarowania, mógłby Ci ją wyjaśnić. Ale Ty, choć sam jej wówczas nie rozumiałeś — instynktownie poszedłeś drogą najwłaściwszą. Bo prowadził Cię nieomylny drogowskaz życia — miłość ku uciśnionym. Nie poddałeś się faryzeuszowskim wykrętom o solidarności bogoojczyźnianej. Wiedziałeś, gdzie i kto jest wrogiem. Nie uległeś pokusie ucieczki w sen szczęścia w objęciach dobrej Jenny. Wiedziałeś, gdzie i jakie jest szczęście.

A dziś, Jakóbie? Nienasycony moloch wojny szuka sobie wciąż nowych ofiar. Jego kapłani, strojni w swastyki i rózgi, drą kawały z ciała ludzkości i rzucają mu je na pastwę. I temu widowisku — męczeństwa i szału — przypatrują się z grymasem buldoga zalęknionego o własną skórę nawet Twoi bliscy. Nie przekonałeś 24 lat temu swego brata Antoniego, nie przekonałeś go też dziś — kto jest właściwym sprawcą katastrofy, kto naciska sprężyny tego niebezpiecznego mechanizmu, któremu na imię **wojna**. Zresztą kto wie, może jest dziś zanadto związany z City londyńską — snuł przecież takie wspaniałe plany. Rozbudować, rozszerzyć swój warsztat pracy, nie uronić nic ze schedy Thibaultowskiej, którą Ty wzgardziłeś, — ażeby to urzeczywistnić, trzeba dobrze dbać o swój interes.

A przecież mogło być inaczej. Kiedy dwadzieścia lat temu ludzie umęczeni, utarzani w błocie okopów i we krwi własnej, przejrzeli nagle jak olśnieni błyskawicą, kiedy poczęli gniewnie szukać winowajców — zdawało się przez chwilę, że ich znajdą, dojrzą i zgniotą i — jakże dziwnie to brzmi dzisiaj — nie będzie więcej wojen. To hasło: — Nigdy już więcej wojny! — w stu językach powtarzane upajało i — obezwładniało. Te czasy utonęły dziś we mgle zapomnienia. Czy nie tak, Jakóbie? Dziwna to historjozofja, w której wojny tylko wyznaczają epoki, a porywy ludu, nawroty wolności i otrzeźwienia są epizodami bez znaczenia.

Jakże Ci musi palić wstydem twarz, że ludzie mówiący Twoim językiem z premedytacją popełniają zbrodnię międzynarodową. Bez wyrzutów sumienia łamią sojusze i zostawiają słabego na pastwę silniejszego. Zdradzają swój naród. Ty to rozumiałeś już dawno — widziałeś przed tamtą tragedją zbrodnicze ręce splecione dokoła szyi biednego człowieka — te ręce trwają dotychczas w tym uścisku, jeszcze silniej zespolone. Czy nie widzisz? De la Rocque, Doriot w jednym korowodzie z Henleinem, Franco i Goebbelsem — to tylko inne maski na twarzach znanych z roku 1914.

Jakże Ci musi palić wstydem twarz, że czapkę frygijską zamienili Twoi ministrowie Twego szlachetnego kraju na błazeńską, łasząc się przed pajacem na sznurkach, poruszanym przez Kruppa i Roechlinga.

Ale przez te 20 lat coś się jednak zmieniło. Weź mapę świata do ręki. Czy nie wzruszasz się pieśnią miljonów o braterstwie uciśnionych? Tę pieśń chcą zdławić ci co drżą przed nią. Oto preludjum: bagnet wbity obcemi dłońmi w krwawiące ciało Hiszpanji; but opryskany mózgiem — dudniący na żółtej ziemi chińskiej. Bo zadzwoniła tam ta pieśń o braterstwie gnębionych i ich ostatecznem zwycięstwie.

Nie wiem, gdzie Cię mam szukać, Jakóbie? Może stoisz gdzieś w skalnych sierrach w noc bezgwiezdną i nasłuchujesz warkotu Heinklów i Capronich niosących mord bezbronnym? Wiem, Jakóbie, że trwasz na posterunku. Mimo zdrad tych, którym wierzyłeś i którzy teraz nie mają odwagi rozpętać tlącego gniewu ludu, by zwycięskim płomieniem wymazał zło z powierzchni ziemi. Trwasz. I wierzysz w zwycięstwo.

Tak jak ja wierzę.

Czesław Libowski

*) Jeden z bohaterów powieści Roger Martin du Garda „Les Thibault".

EGZOTYKA I PODRÓŻE

Marja Ficińska. 20 lat w Paranie. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1938; str. 119 i 1 nl i 16 tabl.

Pamiętnik nauczycielki Ficińskiej niesie wspomnienia z Parany, stanu brazylijskiego największych skupisk polskiej emigracji, gromadzi materjały z codziennego — od roku 1914 do 1934 — współżycia z kolonistami polskimi i autochtonami, o charakterze głównie obyczajowym, według zamierzeń autorki daje „obraz (choć niepełny) życia i bytu tutejszego społeczeństwa", zarazem dźwigania się emigranta polskiego od analfabetyzmu, ubóstwa i pogardliwego „Polaca" do zamożności, kultury i manifestacyjnych „viva Polonia" — wszystko w przekroju, trochę uproszczonym ale jasnym i świeżym, gospodarczego zaś szczególnie kulturalnego życia emigracji, to znów w dalekich od szarpiących problemów „polskich" epickich opisach przyrody brazylijskiej, kabokli, fazenderów. Na karty książki wbrew egzotycznemu aromatowi fazendiny, Soplicowa zagubionego w podzwrotnikowej puszczy, przedostały się półgębkiem mało znane zagadnienia pracy społecznej na wychodźtwie, dwojakiego rodzaju działalności patrjotyczno-religijnej księży, swoistego i różnego od naszego podziału emigracji na „lewicę i prawicę", obie obdarzone jednakiem uczuciem ofiarnej działaczki pedagogicznej.

Richard Katz. Żniwo wędrówek. Autoryzowany przekład **Zofji Petersowej.** Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 306 i 6 nl. i 15 tabl.

Reportaż ten okrąża świat tradycyjną marszrutą egzotyczną: Ateny, Palestyna, Syrja, Kair, Port Sudan, Cejlon, Indje, Tahiti, Fidżi, Samoa, San Francisco, Kuba, Madera, Praga, Berlin — „wpoprzek przez kultury" i cywilizacje lub pod ich historycznemi falami. Katz ożywia wielokolorowy pejzaż turystyczny refleksjami, próbami nietyle zdefinjowania co odczucia jedyności i nieprzemijającej istotności zwiedzanych krajów. Dziennik jego znaczony miejscowościami a nie czasem, pozbawiony jest nagminnego w zamorskich reportażach przerostu egzotycznej faktury malarskiej, rzadko zaś dopuszczając płyciznę wyłącznie optycznego opisu, stanowi niejako studjum poglądowe obyczajów i gospodarczo-społecznych warunków życia ludów kolorowych, dopełnione dociekaniem nad istotą przemian w kolonjach często o rewindykacyjnym posmaku; refleksje te rodzą przytem rewizjonizm w stosunku do egzotyki uznanej i znowelizowanej przez pisarzy świata. Zastajemy go w wielu rozdziałach (wyspy mórz południowych). Dni i noce, tygodnie i miesiące spędzane na statkach, pustyniach, wybrzeżach, w świątyniach, na zwaliskach historji czy wreszcie w wiecznie żywych dzielnicach miłości — przekazuje autor czytelnikowi z melancholijną zadumą przy niemal beznamiętnej, za chłodnej rzeczowości opisu, spełniając zakreślone zadanie pisarza-sprawozdawcy: „wypełnienie artystycznej formy pożytecznemi wiadomościami".

Polszczyzna przekładu na wysokim poziomie, książka wydana starannie.

Hanna Skarbek-Peretiatkowicz. Indje wczoraj i dziś. Przeszłość i teraźniejszość, kraj i ludzie półwyspu hindostańskiego. Książka dla młodzieży. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1938; str. 212.

Niesłuszny jest podtytuł inspirujący wiek czytelnika. Książka, w której autorka szczęśliwie zdołała sharmonizować bogatą wiedzę o Indjach wczorajszych z obfitym materjałem postrzeżeniowym (z rocznego prawie pobytu) z Indyj dzisiejszych, bogato ilustrowana, może stanowić zajmującą lekturę zarówno dla 15-to i 40-letniego uczniaka jak i dla cichych sensatów, emerytów zamorskich, w młodości uporczywie żywionych, aspiracyj. Lekkie acz treściwe opowiadanie jest snopem światła rzuconym na olbrzymi kraj 1,800.000 mil kw., 350 miljonów ludności, 300.000 bóstw, 222 narzeczy, niezmierzonych plantacyj, pustyń, telefonu, malarji, trądu, elektryczności, dżungli roślinnej i dżungli 95 procentowego analfabetyzmu, jest błyskiem skierowanym na jego poplątaną przeszłość i mozajkową teraźniejszość.

Architektoniczna spoistość narracji straciła nieco na zbyt przewlekłem traktowaniu sprawy kobiecej.

Dr. **Jan Hirschler**, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza. **Ze Lwowa do Liberji.** Wspomnienia z Afryki tropikalnej. 50 rycin i 1 mapka. Lwów, Książnica - Atlas, 1938; str. 240.

„Szósty krzyżyk na barkach swoich niosący" profesor zoologji odbył wraz z żoną na przełomie lat 1935 36 naukową podróż do leżącej w Afryce tropikalnej Liberji, podróż, o której marzył całe życie. Książka stąd powstała nosi cechy postrzeżeniowo-przyrodnicze, maluje uciążliwe warunki pracy naukowej w krajach podzwrotnikowych. Prócz danych o „Rzeczypospolitej Liberyjskiej", florze, faunie i ludności kraju zawiera opisy życia i działalności tamtejszych plantatorów polskich, wśród których spotykamy Kamila Giżyckiego. Gościli oni prof. Hirschlera niemal przez cały czas jego pobytu w Liberji, dopomagając mu do urządzenia stacji naukowej w Batoli oraz prowadzenia badań.

Praca o charakterze pamiętnika nie jest rewelacją naukową, nie przynosi wyników badań; daje opis dróg i przeszkód, jakie musiały zwalczać oraz dzięki pewnym informacjom pozwala na stworzenie obrazu polskich wysiłków kolonjalnych.

Leopold Janikowski. W dżunglach Afryki. Wspomnienia z polskiej wyprawy afrykańskiej w latach 1882—1890. Warszawa, Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonjalnej, 1936; str. 207 i 1 nl i 8 tabl.

Wspomnienia Janikowskiego są „odkryciem" polskiej penetracji kolonjalnej sprzed lat pięćdziesięciu. Mało znana bliżej wyprawa trzech Polaków na tereny Kamerunu i sąsiednie, celem utworzenia pierwszej niezależnej „Kolonji Polskiej" oraz dokonania odkryć geograficznych, uwieńczona zarówno zdobyczami naukowemi jak i osiedleńczo-handlowemi wśród plemion murzyńskich, i to — w przeciwieństwie do innych białych — bez użycia strzelby, świadczy jak „wiele" nas było w świecie a jak skromne wracały do nas owoce pionierskich, indywidualnych ekspanzyj; przecież o Janikowskim i Rogozińskim mówił w parlamencie niemieckim Bismarck jako o „dwóch przeklętych Polakach, którzy górskie tereny kameruńskie oddali Anglji"; dopiero na mocy osobnego układu przeszły one w ręce niemieckie. Zwięzłe opisy Janikowskiego dzięki swoim wartościom dokumentarno-historycznym i etnologicznym zapiszą się niewątpliwie jako trwała pozycja w skromnej polskiej literaturze podróżniczej i wiedzy egzotycznej.

Franciszek Gil

Jubileusz »Sygnałów«

„Wiek Nowy" z dn. 5 sierpnia b. r. w artykule „Pięćdziesiąty numer lwowskich „Sygnałów" pisze:

W tych dniach opuścił prasę 50-ty numer lwowskiego czasopisma literacko-społecznego „Sygnały". Pięćdziesiąt numerów — blisko pięć lat istnienia — pisma całkowicie niezależnego i przez nikogo niesubwencjonowanego, to zjawisko w naszych czasach doprawdy wyjątkowe. Nabiera zaś ono specjalnego znaczenia na tle chronicznej już apatji lwowskiego środowiska kulturalnego, które przez szereg lat zdobywało się conajwyżej na blade efemerydy, kończące swój żywot najczęściej już po pierwszym numerze. Grupa młodych pisarzy, wydająca „Sygnały", nawiązywała świadomie do pięknych tradycyj kulturalnych Lwowa, czego wyrazem był np. specjalny numer lwowski, lecz uniknęła zarazem szczęśliwie niebezpieczeństwa prowincjonalizmu. Będąc pismem lwowskiem „Sygnały" zdołały objąć swym zasięgiem niemal cały kraj i zajęły jedno z czołowych miejsc wśród perjodyków literackich, wychodzących w Polsce. Z każdym niemal numerem podnosił się poziom pisma, treść jego stawała się coraz bogatsza i wszechstronniejsza, a na jego łamach poczęły się pojawiać coraz częściej nazwiska wybitnych pisarzy Polski współczesnej, którzy drukują w lwowskiem czasopiśmie fragmenty nieopublikowanych jeszcze powieści, wiersze i t. p. Kontynuując chlubnie tradycje demokracji polskiej, „Sygnały" stają się w ciągu pierwszego 5-lecia swego istnienia pismem tych wszystkich ludzi dobrej woli, którym drogie są ideały wolności, postępu i sprawiedliwości społecznej. Równocześnie (i to jest nader ważne!) pismo zachowuje całkowitą niezależność od jakiejkolwiek doktryny partyjnej. Obecny jubileusz „Sygnałów" jest dla nas, lwowian, wymownem świadectwem żywotności aspiracyj kulturalnych Lwowa i jego regjonu.

GORŻKA FRASZKA

Świat ceni widać doświadczenie:
miasto Chicago za to płaci,
by ten, co zgubił demokrację,
głosił: „ustroje demokracji".

Gorzko ci będzie, profesorze,
gdy ktoś z słuchaczów twych gromady
zapyta kiedyś o ...ćwiczenia
na temat, w którym masz wykłady.

Może mu powiesz z doświadczenia,
że to kto inny robi zwykle,
naprzykład, że w Sudetenlandzie
ćwiczenia te prowadzi ...Hitler?

Stanisława Bartnicka

Sprawy filmowe

KRZYK ULICY

(reż. Pierre Chenal)

Kicz filmowy sugeruje głębię problemów i stara się onieśmielić powagą rozwiązań. W kiczu nic się nie dzieje, ale to nic nadyma się i jak każda bańka mydlana gra wszystkiemi kolorami tęczy. Czasem jednak reżyser oddziela się od kiczu mocnym gestem artystycznej świadomości. Wtedy kicz rozpływa się w pejzażu, niknie w mroku niedomówień, traci zamierzoną pierwszoplanowość, a właściwa dramatyka filmu wyrasta z tła, z plastycznej wizji twórcy. Kicz filmowy często wzoruje się na pozytywnych osiągnięciach artystycznych i również odchodzi od fabuły, spychając z kabotyńską nonszalancją akcję na plan dalszy, ale nie daje wzamian nic, poza małpią manierą i tanim szychem rekwizytów. Takim właśnie dezerterem z krainy kiczu miał być „Krzyk ulicy". Ale Chenalowi nie starczyło oddechu i w gruncie rzeczy film ani na chwilę nie wymyka się z niewoli scenarjusza, z zaułka banalnych powikłań dramatycznych. Chenal to rozumie i koncentruje wysiłek nad stworzeniem jakiejś przekonywającej atmosfery, gorączkowo szuka dla siebie artystycznego alibi i nie znajduje go w taniej, bezwyrazistej egzotyce pejzażu. Kicz tryumfuje.

KRÓLEWNA ŚNIEŻKA

(produkcja i realizacja Walta Disneya)

Tudno zrozumieć, o co właściwie Disneyowi poszło i dlaczego rzucił myszkę Mickey dla Śnieżki. Czyżby chciał dowieść, że malowani ludzie ruszają się „jak żywi", a rysunek dorównywa sprawnością fotografji? Istotnie, Śnieżka jest jak żywa, a wszystko co ją otacza, nie wymyka się z ram stereotypowej, disneyowskiej karykatury. Film jest banalnie stylizowany, a chwilami odnosi się wrażenie, że to pachnąca, słodka konfitura spłynęła na ekran i gra złocistemi blaskami smażonych truskawek. Taka ocena byłaby jednak niesprawiedliwa, niekiedy bowiem wdziera się w tę cukierkową harmonję jakiś akord mocniejszy, który działa jak wyzwanie i zmusza do czujnej uwagi. Możnaby z tych dwóch tysięcy metrów kiepsko użytej taśmy wyciąć kilka skrawków, które dowiodą, że twórczość Disneya mimo wszystkie kompromisy, mimo irytujący konwencjonalizm, wywodzi się w prostej linji z abstrakcyjnych kompozycyj awangardzistów niemieckich, Ruttmanna i Richtera, czy nawet z jeszcze wcześniejszych prób Szweda, Eggelinga. Trzeba w „Śnieżce" przeprowadzić linję demarkacyjną między malarskim zamysłem a kupiecką kalkulacją. Ta królewna, mdła i przesłodzona, ten królewicz o manierach operowego śpiewaka, to przecież nic innego, jak filmowa reprodukcja litograficznych potworków, które pokutują w bogatych i niegustownych wydaniach literatury dla dzieci. Ale w filmie Disneya jest prócz tego frapująca kompozycja kształtów i barw, zawiła, a jednak świadoma i celowa gra kolorowych ornamentów. Kiedy Disney ma pokazać czarownicę, która czyha na życie Śnieżki, wtedy naturalnie straszy widza potworną maską doktora Jekylla, ale o dwadzieścia metrów przedtem ukazuje groźny, niesamowity taniec kolorowych plam, przemyca (dosłownie przemyca!) najprawdziwszą wizję malarską i tą drogą sposobi nas do przyjęcia tego co nastąpi. Te malarskie intermezza uchodzą być może uwagi widza, ale z pewnością nie chybiają celu. Warto tu przypomnieć dla porównania, co pisał krytyk sztuki przed laty blisko dwudziestu o kolorowych abstrakcjach Waltera Ruttmanna: „Cudowną możliwością filmu jest muzyka barw, której pierwszym kompozytorem jest malarz Ruttmann. Kto widział obydwa jego filmy, musi przyznać, że kłębienie i rzucanie się prymitywnych jeszcze form i barw wchodzi w szczególny związek z naszem sercem, jest przeczuciem przyszłej, olbrzymiej twórczości. Same z siebie budzą się w nas jakieś melodje, nawet bez towarzyszenia muzyki, ponieważ problem ruchomej gry barw jest problemem muzycznym. Długie cierpienia niezmordowanych artystów będą musiały tej naprawdę nowej sztuce torować drogę przez gąszcza i ciemności, zanim stanie w rzędzie sztuk uczucia, obok muzyki, świadoma całkowicie swych środków, dostarczycielka najsilniejszych wzruszeń" (cytata z Bloema, por. „X Muza" Irzykowskiego).

U Disneya abstrakcja malarska zakonspirowała się ostrożnie w pokładach farby litograficznej i trzeba dopiero czujności entuzjasty, żeby tę pełnowartościową taśmę filmową stamtąd wyłuskać. W „Śnieżce" a jeszcze przedtem w filmach niemieckiego awangardzisty Fischingera, przypuszcza artysta koncentryczny atak na sferę emocjonalną widza przy pomocy ruchomego ornamentu, barwy i muzyki. Kto wie, może z tych nieśmiałych prób narodzi się prawdziwy, wolny film malarsko-muzyczny?

Jerzy Bossak

Czas odnowić prenumeratę

Zwiedzając Wystawę „Dziecko w Polsce" nie można choćby na chwilę nie zatrzymać się przy stoisku Fosfatyny Faliera. Ładnie i umiejętnie powiązano tutaj propagandę tej odżywki z charakterem Wystawy.

Z WYSTAW

LWOWSKI ZAWODOWY ZWIĄZEK ARTYSTÓW PLASTYKÓW

Październikowa wystawa w Lwowskim Zawodowym Związku Artystów Plastyków prezentuje atmosferę sztuki francuskiej.

Z dwu wystaw zbiorowych na szczególną uwagę zasługują prace **Antoniny Richterówny.** U podstawy jej sztuki leżą uproszczenia modernizmu, te same, które wywołały tyle nieporozumień, sygnalizowały zaś jedynie potrzebę i możliwość pokazania niepozornych gestów i zdarzeń. Szczególny sentyment, który można nazwać „urbanistycznym", cementuje tu całość: ma on swą tradycję w sztuce francuskiej od **Claude Lorraina** przez **Corota** i **Vuillarda** do

E. Wasilkowski: Martwa natura z krawatami

Vlamincka, przedewszystkiem zaś **Utrilla.** Pejzaż z konstrukcją (domu, mostu, muru), scena na ławce ulicznej, scena w kawiarni — to tematyka urbanistyczna gwaszów Richterówny („Śniadanie pod parasolem", „Niedziela", Utrillowska „Oberża w Choissel"). Gdy jednak u Utrilla i innych była sylwetka człowieka, schematycznie zaznaczona marginesem muru, domu czy chodnika, na pierwszym zaś planie życie i nastrój domów i murów — Richterówna rehabilituje gest człowieka. W technice tych gwaszów nawiązuje do impresjonizmu, przenikającego się z techniką unizmu (podobnie jak w pra-

A. Richterówna: Hiszpanka

cach n. p. Menkesowej ze szkoły Strzemińskiego); również paleta jest tu impresjonistyczna, wzbogacona jednak o vangoghowską harmonję błękitu i pomarańczowej barwy i o radosny, twardy, bardzo osobisty rytm.

Z kubizmu dostała się do prac Richterówny metoda podziału płaszczyzny płótna na przylegające do siebie kształty o wspólnych konturach: charakterystyczna kompozycja „Kawiarnia".

Ale jest w jej pracy, przedewszystkiem zaś w studjach głów i aktów, **realizm,** z jakim została np. potraktowana łysina pana z gazetą, widzianego odtyłu. Realizm ten opiera się na założeniach geometryzmu. Jego treść i możliwości trudno jeszcze scharakteryzować. Podczas gdy barwny „Chłopiec z mandoliną" pozostaje jeszcze w zasięgu t. zw. „deformacji" z epoki Modiglianiego czy dawnego Menkesa, doskonałe studja „Hiszpanka" lub „Portret p. S." zapowiadają już nowe możliwości.

Wystawa zbiorowa **E. Wasilkowskiego** prezentuje w większości eksponatów impresjonizm z późniejszej **Bonnardowskiej** fazy, jeśli chodzi o technikę i paletę; na tematyce zaważył Cézanne (gest kąpiących się kobiet). Płaskie kobiety Cézanne'a, zamykające sklepienie gotyckim ale łagodnym łukiem, stały się tu miękkiemi i falującemi bryłami łagodnej materji, chłodna zaś niebieska i zielona karnacja ustąpiła miejsca sytej, różem napuszczonej bieli i twardemu, renoirowskiemu różowi. Technika nakładania farby daje efekty sztuki gobelinowej

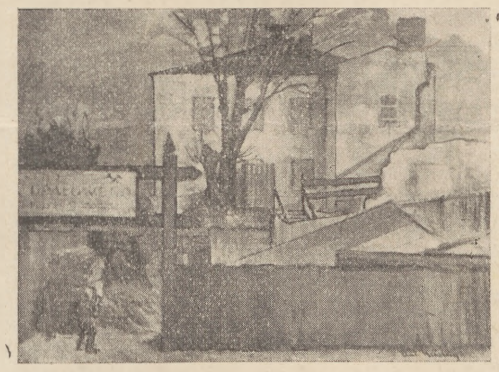

A. Reising: Pejzaż podmiejski

z jej szczególnym nastrojem („Romeo i Julja") lub efekty ornamentu.

Ale są u Wasilkowskiego również uproszczenia i układy form kubistyczne, operujące zrehabilitowaną banalnością. Nadają się do tego celu przedewszystkiem układy form martwych. Uproszczenia te dochodzą do głosu w postaci niesfałszowanej w doskonałej „Martwej z krawatami": banalny męski kapelusz słomkowy i krawat w paski obok — jeszcze trochę secesyjnego — dzbanka symbolizują niedwuznacznie patos banalności, rzeczywistość, odkrytą przez kubizm. Wreszcie studja portretowe sta-

E. Brejter: Człowiek z drzewem

nowią trzeci dział eksponatów Wasilkowskiego.

Pejzaż miejski **A. Reisinga** opiera się o najlepsze tradycje urbanistycznego malarstwa, podane w oryginalnej, kolorowej i fantazyjnej tonacji barwy i linji.

E. Rympel przypomina w dwu postaciach kobiecych o chłodnej, zielono-błękitnej tonacji koloru uproszczenia z gatunku stylizacyj **Gauguina.**

Trzy drzeworyty **E. Brejtera** przypominają technikę Skoczylasa, przyczem z tą „rzeczową" i do wymogów materjału przystosowaną techniką łączy się ciekawy, chociaż dziś nieaktualny — symbolizm, pozwalający np. na animizujące zlanie ciała ludzkiego z połamanym pniem drzewa.

Kredki **E. Janickiego,** nastrojowe i delikatne, są jeszcze zanadto bezosobowe.

Debora Vogel

SPRAWY AKTUALNE

Władysław Baranowski. Rozmowy z Piłsudskim. 1916—1931. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1938; str. 237 i 3 nl.

Niema w tej książce rewelacyj, jakich uzasadnioną nadzieję daje każda nowa publikacja o Piłsudskim. Zawiera poglądy w tej czy innej formie już znane, oświetla motywy działalności Piłsudskiego świadomości szerszego ogółu zdawna dostępne; niema w niej fanatycznej żarliwości wyznawcy — Składkowskiego, jest niepodkreślane przywiązanie gorącego zwolennika, usiłującego nawet czasem przeciwstawić się Komendantowi; jest ze względu na charakter prac powierzanych Baranowskiemu przez Piłsudskiego do wykonania, jako zagranicznemu emisarjuszowi politycznemu, następnie przedstawicielowi dyplomatycznemu, parenaście szczegółów, pozwalających na bliższe poznanie dróg jego polityki zagranicznej. Brak tej pracy, niejako organicznie, danych z okresu belwederskiego milczenia, ostatnich samotnych dyspozycyj, ze słabo „ujawnionych" dotychczas lat 1930—35; jako źródło jednak do dokładniejszego wniknięcia w psychikę i istotę poczynań Piłsudskiego oraz najnowszą historję Polski posiada wartość równą wspomnieniom Składkowskiego czy Lepeckiego.

Franciszek Gil

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. IX. **Franciszek Szymiczek. Walka o Śląsk Cieszyński w latach 1914—1920.** Z 3 mapami. Katowice, 1938; str. 212 i 4 nl.

Konflikt polsko-czeski o Śląsk Cieszyński sięga swemi początkami do czasów przed wielką wojną. Przejawiał on się pierwotnie w akcjach i kontrakcjach oświatowych. Ale nie tylko. W swej pracy doktorskiej p. t. „Le problème autrichien et la question Tchèque", wydanej w Paryżu w r. 1908, Edward Benesz wyznaczał już granice przyszłego państwa czeskiego, w którego skład mają wejść Czechy, Morawy i Śląsk (prawdopodobnie i Cieszyn). Benesz oparł się w swej pracy na tradycjach i prawach historycznych. Inaczej potraktował zagadnienie Śląska Cieszyńskiego Dmowski. W broszurze pt. „La question polonaise" (Paryż, 1909) podkreślał leader Narodowej Demokracji, że Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawa powinny należeć do przyszłego państwa polskiego ze względów etnograficznych. W przyszłej walce o Cieszyn to przeciwstawianie praw historycznych etnicznym i naodwrót stanowić miało podstawę dla polityki dwóch pobratymczych a współzawodniczących narodów.

„Mimo tego sporu, a raczej jego pierwszych zwiastunów, panowała harmonja a nawet współpraca między Polakami i Czechami na innych terenach" — pisze Szymiczek. „Owe sporadyczne spory miały przecież tylko charakter „lokalny", bo uwaga obu narodów słowiańskich była skierowana w stronę zagrażających im Niemców. Praga i Kraków znalazły dla siebie platformę współżycia. I ten stan trwał aż do wybuchu wojny światowej..."

Autor rozbił swą pracę na osiem dużych rozdziałów. W pierwszym omówił warunki geograficzne, polityczne, gospodarcze i kulturane Śląska Cieszyńskiego. Następnie dał rzut oka na stosunki polsko-czeskie podczas wojny światowej. Rozdział III został poświęcony krótkiemu okresowi czasu od 1 listopada 1918 do 23 stycznia 1919 r. („od przewrotu do wojny polsko-czeskiej"). Dalej opisał autor zbrojny atak Czechów na Śląsk i przebieg ówczesnych działań wojennych na tamtym terenie. Rozdziały V, VI, VII i VIII mówią kolejno o czasach t. zw. Międzynarodowej Komisji Kontrolującej, o skomplikowanych perypetjach plebiscytowych, o podziale Śląska Cieszyńskiego, o epizodach likwidacyjnych.

To co się dotąd ukazało w druku o walkach o Cieszyn, należy uważać za zbiór dokumentów, za pamiętniki i wynurzenia osobiste tych osób, które brały wybitny udział w owych walkach. Praca Szymiczka jest próbą ujęcia kwestji cieszyńskiej jako całości, ujęcia w sposób ogólny i systematyczny, hierarchizujący poszczególne wydarzenia wedle ich ponadosobistej wagi.

Autor nie kryje, naturalnie, po czyjej stronie są jego sympatje w sporze polsko-czeskim o Zaolzie. Niepotrzebnie też zastrzega się w przedmowie, że „obce mu były wszelkie tendencje polityczne". Nie mógł ich przecież uniknąć!

Polski Śląsk. Odczyty i rozprawy. 42. **Mieczysław Tobiasz. Na froncie walki narodowej w Opolskiem. Bronisław Koraszewski 1888—1922.** Z 11 ilustracjami. Katowice, Instytut Śląski, 1938; str. 199 i 3 nl.

Bronisław Koraszewski, dziennikarz z zawodu, był jednym z najwybitniejszych działaczy polskich na Śląsku Opolskim w czasach przed wojną światową. Jego „esprit" polityczny charakteryzowała mieszczańska „pośredność". Sam to podkreślał (p. str. 13) i konsekwentnie nawoływał zawsze wszystkie klasy społeczeństwa polskiego na Śląsku do „zgody". Zgoda ta oznaczała dla niego przedewszystkiem wspólny front antyniemiecki. Musiał też sam tępić ostrze własnych ambicyj na wypadek jakowejś ich kontrowersji z interesami publicznemi. Nie o wszystkich ówczesnych działaczach śląskich da się to powiedzieć.

Książka Tobiasza pozwala się zorjentować, z jakiemi trudnościami musieli walczyć w państwie pruskiem organizatorzy uświadomienia narodowego. Akcja germanizacyjna natomiast przeprowadzana była w sposób „totalny": nauczyciele podsłuchiwali np. w jakim języku uczniowie prowadzą prywatne rozmowy. Zwłaszcza Opolskie najsilniej zagrożone było wynarodowieniem. Wiemy, że od śmierci Koraszewskiego nic w tym względzie nie zmieniło się na lepsze. I nie zmieni się napewno pod panującym dziś w Niemczech régime'm.

Tadeusz Lechnicki. Problem centralny. Uwagi programowe. Warszawa, „Rój", 1938; str. 2 nl i 99 i 3 nl.

„Problem centralny" to problem rolniczy w Polsce. Samo stwierdzenie nie nasuwa tylu zastrzeżeń, co postawa, jaką autor względem niego zajmuje. Najbardziej interesujące w tej książeczce są też niewątpliwie dane cyfrowe. Dowiadujemy się z nich np., że Litwa zmeljorowała w ostatnich latach przeszło 300.000 ha, a Polska w tym samym czasie 700.000 ha, co stanowi o stosunkowo parokrotnie szybszem tempie prac meljoracyjnych na Litwie. Albo dowiadujemy się, że wskaźnik dochodu realnego wyniósł dla chłopa za r. 1936/37 — 48, przy wskaźniku robotnika — 125, urzędnika — 102 (w stosunku do r. 1928). Z danych drobniejszych, ale charakterystycznych: konsument płacił w Polsce w r. ub. 30 gr. za litr mleka, producent otrzymywał z tego tylko 12 gr.; w Finlandji odpowiednie cyfry wynosiły: 17 i 14 groszy!

Lechnicki uważa, że należy podwoić produkcję wsi polskiej. Podwojenie to można, jego zdaniem, uzyskać w rezultacie dostosowania kosztów intensywnej produkcji rolniczej do poziomu państw, produkujących podobnie jak Polska na wolny rynek (np. państw bałtyckich). Przeszkodę w osiągnięciu tego celu stanowią — wciąż zdaniem Lechnickiego — kartele, etatyzm i zbyt drogie pośrednictwo. Rolnik w Polsce otrzymywał w ostatnich latach za swą pracę ceny niemal najniższe ze wszystkich rolników Europy, jednocześnie koszty produkcji (poza robocizną) były w Polsce najwyższe.

Lechnicki buduje własny program rolniczy, składający się z 10 podstawowych punktów. Pierwszy punkt to prace agrarne, jak parcelacja, meljoracja, komasacja, uregulowanie sprawy niepodzielności gospodarstw i t. d. Drugi punkt stanowi kwestja nożyc między cenami artykułów rolniczych i artykułów przemysłowych. Trzeci — odbudowa wiejskiego aparatu kredytowego (kasy Stefczyka, banki ludowe). Czwarty — rewizja polityki traktatowej (Anglja przyznała Polsce 8% swego importu bekonów, a Danji — 62%!). I tak dalej.

Program ten napewno nie stanowi sensacji. Wylicza on bodaj czy nie wszystkie możliwe do wyliczenia środki uczynienia opłacalną produkcji rolniczej w Polsce — bez radykalnej przebudowy ustroju rolnego. Taki konglomerat zaradczy łatwiej jest wykoncypować, niż urzeczywistnić choćby w części. Urzeczywistnienie bowiem tych postulatów Lechnickiego, które są słuszne, zależy od „nadrzędnego" czynnika polityki. A cóż mówi o nim autor na str. 71—72:

„Bez politycznej siły wieś polska nie zlikwiduje wyzysku i przywilei, które odbierają jej warunki rozwoju.

Wieś, chłop polski, musi odzyskać poczucie siły oraz świadomość odpowiedzialności za to, co się dzieje w Państwie".

Przecieramy oczy ze zdumienia. Jakto? Chłop polski, zdaniem Lechnickiego, nie ma „poczucia siły"? I zbywa mu na „świadomości odpowiedzialności za to, co się dzieje w państwie"? Ktoś tu przespał widocznie spory szmat historji Polski — od Nowosielec po ostatni akt z 13 września. Wydaje się bowiem, że chłop polski nie tylko jest pewien swe siły, ale potrafił ją zademonstrować komu trzeba, że nie tylko jest świadomy odpowiedzialności za losy państwa, ale wskazuje oddawna jedyną drogę wyjścia z wewnętrzno-politycznego impasu. Negować te prawdy — to deklarować się po stronie przeciwników chłopa.

Zygmunt Jarosz

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

KRZYK OSTATECZNY

Dzień głodu, ognia, powietrza i wojny
z dziejowej rodzi się nocy.
Oto wołam, jak dawni prorocy,
poeta w sercu swem wolny.

Głos mój — głos wiela wód,
kiedy nadciąga zagłada.
Pędzą Czterej na zachód i wschód.
Biada! Biada! Biada!

Biada wam, ufne swej mocy,
Babilony drapaczy chmur!
Dzień straszny rodzi się z nocy.
Będzie głód, pożoga i mór.

Żyjąca, a już umarła,
nowe ukaże piekła,
cywilizacja oślepła:
niewiasta przybrana w szkarłat.

Groza narasta.
Gniewnie kroczy historja.
Spłoną miasta.
Runą laboratorja.

Słyszę nowych potopów przybór,
słyszę tupot miljonów nóg.
Do mnie należy wybór
i słów, i czynów, i dróg.

A ja stoję, w siebie nachylony,
krzyczę, w mękę wplątany jak Ixion,
nad rzekami przyszłych Babilonów
spełniającą się Apokalipsę.

Lecz gdy dojmie mnie pościg odmętu
głodem, ogniem, powietrzem i wojną,
jak butelkę z tonącego okrętu,
rzucę krzyk mój ostateczny: wolność.

USUWA ŁUPIEŻ UZDRAWIA WŁOSY
OLEUM PETRAE „GLIMAR"

KORESPONDENCJA

PIŁSUDSKI I BRZOZOWSKI

Do redaktora „Sygnałów"

Do artykułu Mieczysława Haresza „Józef Piłsudski i Stanisław Brzozowski", zamieszczonego w numerze 55 „Sygnałów", wkradła się pewna nieścisłość dotycząca sprawy, którą wbrew zresztą zdaniu samego autora, uważam za rzecz dużej wagi.

Haresz pisze: „Kwestją przypadku jedynie było, że pomiędzy dwoma ludźmi (Piłsudskim i Brzozowskim), w których narastał prawie jednakowy proces myślowy, nie było żadnego kontaktu osobistego, że nie zeszli się razem na swoich drogach życiowych". Jest to poważny błąd. W „Polskim Słowniku Biograficznym", wydawnictwie Polskiej Akademji Umiejętności, w tomie III, znajduje się artykuł o Brzozowskim pióra Kazimierza Wyki, najwybitniejszego dziś znawcy życia i dzieł autora „Płomieni". Przytaczam urywek z tego artykułu w brzmieniu dosłownem: „Brzozowski pragnął mieć za arbitra w owej sprawie J. Piłsudskiego, **którego bardzo cenił wszelako bez wzajemności ze strony Piłsudskiego**". Mowa tu jest o sądzie międzypartyjnym w sprawie Brzozowskiego, po słynnem oskarżeniu ex-agenta ochrany Bakaja, który odbył się w Krakowie, w lutym 1909 roku, pod przewodnictwem późniejszego posła na Sejm H. Diamanda, a w którym udział wzięli: F. Perl, F. Kon, E. Bobrowski i S. Żmigrodzki. Piłsudski udziału swego, mimo parokrotnych próśb Brzozowskiego, odmówił. Tyle Wyka. Dziwne się natomiast może wydać to pominięcie przez Haresza osobistego kontaktu Brzozowskiego z Piłsudskim, kontaktu, którego dokładne, źródłowe omówienie mogłoby do omawianej sprawy wnieść wiele materjału znacznie ciekawszego i o wiele ważniejszego, niż wyrwane cytaty z pism Brzozowskiego i zbyt swobodnie ukute uogólnienia krytyczne w stosunku do bogatej twórczości wielkiego myśliciela.

Tadeusz Nakłos (Warszawa)

ŚWIATOPOGLĄD UCZONYCH

Do redaktora „Sygnałów"

W ostatnim numerze „Sygnałów" Józef Lubojański wyraża żal, że „niema prawie zupełnie książek, któreby... oświetlały z materjalistycznego punktu widzenia badania przyrodnicze". W związku z tem zwracam uwagę na dwie nowe, „popularne, a jednocześnie poważne i naukowe" prace w języku francuskim, które ukazały się w „Editions Sociales Internationales" w Paryżu, a mianowicie: 1) **A la lumière du marxisme. Tome I.** Sciences physico-mathématiques. Sciences naturelles. Sciences humaines. Autorami są profesorowie francuskich uniwersytetów m. in. fizyk Jean Langevin. 2) **Biologie et marxisme.** Autor, Marcel Prenaut, jest profesorem Sorbony. To samo wydawnictwo zapowiedziało w r. 1937 wydanie książki J. Solomona **Physique et marxisme**, która może już się ukazała.

Twierdzenie Lubojańskiego, że „spór objektywnie istnieje między najgłośniejszymi profesorami fizyki a Ciąglińskim" wydaje mi się niesłuszne. Ciągliński ma po swojej stronie napewno prof. J. Langevin, a pozatem ani Jeans ani Eddington nie są profesorami fizyki; jeden jest astrofizykiem, drugi — astronomem. Jeansa wielu poważnych myślicieli nie traktuje poważnie; wymienię choćby Bertranda Russela, który w „Poglądach i widokach nauki współczesnej" ironizuje na temat jego koncepcyj teozoficznych. Planck był i pozostał pozytywistą i niesłusznie Lubojański wymienił go obok Jeansa i Eddingtona; choć politycznie reakcyjny, należy on do fizyków najbardziej ostrożnych w wysnuwaniu teorjopoznawczych czy metafizycznych wniosków z obecnych, indeterministycznych ujęć fizyki atomu.

Pragnę jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że niejeden z wielkich uczonych-przyrodników dochodzi w swoich próbach budowy światopoglądu do wniosków, zupełnie niezwiązanych z jego konkretnemi osiągnięciami. Wymienię fizyka Olivera Lodge, który na starość został — okultystą i biologa Hansa Driescha, który po pięknych doświadczeniach z mechaniki rozwojowej stworzył bardzo nienaukową, finalistyczną teorję „entelechji", obecnie zaś również skończył na okultyzmie. Powoływanie się w sprawach budowy światopoglądu na uczonych przyrodników jest usprawiedliwione tylko o tyle, o ile czerpie się od nich konkretne informacje z ich dziedziny, nie zaś wnioski metafizyczne z twierdzeń naukowych ich gałęzi wiedzy.

Feliks Rathauser (Lwów)

SOCJALIZM ETYCZNY LEONARDA NELSONA

Do redaktora „Sygnałów"

Zamieszczony w nr. 52 „Sygnałów" z dn. 1 września b. r. artykuł Stefana Franka p. t. „Niemcy podziemne" przynosi m. in. dość obszerną charakterystykę niemieckiej organizacji ISK (Internationaler Sozialistischer Kampfbund — Międzynarodowy Socjalistyczny Związek Walki). Autor mylnie zalicza ISK do organizacyj, powstałych po przewrocie hitlerowskim. W rzeczywistości ISK powstał w roku 1926, jego zaś koncepcje ideowe i zalążki organizacyjne sięgają jeszcze wcześniejszych lat. Charakterystyka, oparta wyłącznie na deklaracji programowej ISK z r. 1936 nie może oczywiście dać pełnego obrazu tej osobliwej sekty ani oznaczyć należycie jej miejsca w ruchu socjalistycznym. Zważywszy, że lata ostatnie przyniosły pewien wzrost popularności ISK i że czasopismo wydawane przez ten związek („Sozialistische Warte" lub „Stimme der Zeit") znane jest również w Polsce, warto poświęcić kilka słów nie tylko sprostowaniu nieścisłej informacji, ale i rozszerzeniu charakterystyki wspomnianej organizacji. Istnieje jednak jeszcze jeden powód, dla którego warto poznać bliżej ideologję ISK:

Lata ostatnie przyniosły na lewicy pewne nasilenie krytyki marxizmu, ożywienie tendencyj rewizjonistycznych. Nagromadziła się znaczna ilość przeróżnych „wątpliwości", „zastrzeżeń" i „uzupełnień", nacechowanych wspólną tendencją upsychologizowania marxizmu, przeniesienia punktu ciężkości z zagadnień mechaniki procesów społecznych na zagadnienia psychologji, z zagadnień ekonomji na zagadnienia etyki.

Dążenie do oparcia teorji i praktyki socjalizmu na niemarxistowskich zasadach jest istotą ideologji ISK. Nie chodzi o wypaczenie marxizmu lub o stępienie jego ostrza, ale o stworzenie pełnego systemu teorji i praktyki socjalizmu, opartego nie na podstawach dialektyki walk klasowych, lecz na założeniach ustalonych norm etycznych. Do dyspozycji krytyków marxizmu stoi więc system, który miałby zastąpić marxizm. To co rozczarowani krytycy marxizmu wnoszą jako poprawki i uzupełnienia, ISK przynosi w postaci pełnego systemu, przyczem system ten wywodzi się z własnych źródeł.

Historja, ideologja i metody działania ISK związane są ściśle z nazwiskiem filozofa niemieckiego Leonarda Nelsona (1882—1927), który był twórcą całej koncepcji, założycielem i wychowawcą sekty. (Por. „Leonhard Nelson" (praca zbiorowa w jęz. niem.), Paryż, Editions Nouvelles Internationales, 1938). Leonard Nelson należy do szkoły kantowskiej, kontynuowanej przez Friesa i Apelta. Nelson podejmuje dorobek filozoficzny Friesa, jest założycielem towarzystwa uczniów i kontynuatorów wspomnianego filozofa, rozwija i rozpowszechnia kantowską metodę filozofji krytycznej. Początkowo zajmuje Nelsona zagadnienie stosowania metody krytycznej w odniesieniu do nauk ścisłych. Sczasem przenosi on punkt ciężkości swoich zainteresowań na zagadnienia etyki. W r. 1917 ogłasza swoją „Krytykę praktycznego rozsądku", jako pierwszy tom „Wykładów o podstawach etyki". Nelson dąży do stworzenia niedogmatycznego, naukowo ugruntowanego systemu etyki. Rozbudowany przez niego system realizmu etycznego staje się pomostem, po którym docent uniwersytetu w Getyndze przechodzi do życia społecznego i politycznego. Spośród swoich kolegów po fachu wyróżnia się Nelson szczerem dążeniem do realizacji zasad etycznych, którym hołduje. Nelson tworzy szkołę, w której kształci umysł i charaktery swoich zwolenników. Szlachetny moralizator i wychowawca rychło się jednak przekonał, że atmosfera mieszczańska nie sprzyja etycznym ideałom, że w dążeniu do zmiany trzeba oprzeć się o elementy, które pragną zmiany. Realizm każe moralizującemu filozofowi szukać zbliżenia do młodzieży robotniczej i do ruchu socjalistycznego.

Zbliżenie do ruchu socjalistycznego nie oznacza jednak u Nelsona zbliżenia do marxizmu. Socjalizm Leonarda Nelsona wypływa nie z interesów klasowych, ale z postawy etycznej wobec tej niesprawiedliwości, którą inni nazywają ustrojem kapitalistycznym. Motorem walki przeciw kapitalizmowi ma być dążenie do sprawiedliwości. Socjalizm zaś to nic innego jak realizacja stosunków między ludźmi, opartych na sprawiedliwości, na „objektywnie słusznem prawie". Marxizm, wychodząc z dialektyki rozwoju społecznego wyprowadza socjalizm ze sprzeczności w łonie kapitalizmu. Zdaniem Nelsona sprzeczności te są sprzecznościami tylko z punktu widzenia etyki. Dlaczego, zapytuje, mamy mówić o sprzeczności między społecznym sposobem wytwarzania a kapitalistycznem przywłaszczaniem dóbr? Z jakich względów zestawiamy ze sobą wogóle te dwa zjawiska? Czy nie dlatego mówimy o sprzeczności, że współistnienie obu zjawisk uważamy za niesprawiedliwość? Nie zrozumienie dialektyki rozwoju społecznego jest więc teoretycznem założeniem socjalizmu, ale postawa etyczna wobec istniejących stosunków.

Zdaniem Nelsona interes materjalny nie skłania do walki, bowiem walka oznacza poświęcenie interesów materjalnych. Interes materjalny skłania raczej do posłuszeństwa wobec ciemięzców. Do walki skłania tylko dążenie do sprawiedliwości, skłaniają ideały etyczne. Skoro zaś tak jest, to od bojowników socjalizmu powinniśmy wymagać przedewszystkiem zalet charakteru. Skoro tak jest, to walka o nowego człowieka poprzedzać musi wszelką inną walkę. Tylko nowy, lepszy, etycznie wyżej stojący człowiek może walkę poprowadzić zwycięsko.

Zadaniom kształcenia umysłów i charakterów poświęcona była pierwsza organizacja, którą utworzył Nelson t. zw. IJB (Internationaler Jugend-Bund — Międzynarodowy Związek Młodzieży). Do organizacji tej należeli członkowie różnych partyj lewicowych. Jej oblicze polityczne było radykalne społecznie i zdecydowanie antyreligijne. Od roku 1922 IJB należał do Socjalistycznej Partji Niemiec, jako swoista przybudówka, kształcąca przyszłych działaczy. Współpraca z socjaldemokracją nie powiodła się jednak. Nadmiernym radykalizmem i antyklerykalizmem naraził się IJB partji, tak że został wreszcie z niej usunięty. Należy zaznaczyć, że Nelson wolny był od złudzeń, jakoby drogą wychowania i naprawiania ludzi można było dojść do socjalizmu. Podkreślał wielokrotnie, że jest to jedynie droga do stworzenia przyszłej awangardy masowych walk, ale też, że jest to jedyna droga.

W styczniu 1926-go roku Nelson tworzy ISK, organizację niezależną, opartą w pełni na zasadach opracowanych przez mistrza. Zagadnienia zmiany ustroju są w tej organizacji traktowane z równą powagą jak zagadnienie stosunku do zwierząt, wegeterjanizmu, abstynencji, używania czytelnego pisma, ścisłego wyrażania się i t. d. Brak przy tem wszystkiem świątobliwej naiwności czy utopizmu. Cała praca przesiąknięta jest duchem surowego i bezwzględnego racjonalizmu. ISK nie kieruje się w swych uchwałach większością głosów, ale opracowuje wszystkie wnioski drogą konsekwentnej dyskusji i skrupulatnego przeanalizowania wszystkich argumentów za i przeciw.

Nelson był przeciwnikiem ustroju demokratycznego, przeciwnikiem liberalizmu. Swoje stanowisko w tej sprawie opierał jednak nie na społecznej analizie ustroju ale na analizie czysto pojęciowej, apriorycznej. Oto przykład rozumowania: zasadniczem prawem demokracji ma być podporządkowanie się mniejszości woli większości. To jednak prawo nie zostało przyjęte drogą demokratycznego głosowania, ponieważ samo jest przesłanką ważności tego rodzaju głosowań. U podstawy demokracji leży więc zasadnicza sprzeczność. Konsekwentna demokracja zawiera zresztą sama w sobie zarodki własnego upadku, ponieważ zgodnie z własnemi zasadami traktuje demokratycznie również i przeciwników demokracji... Podobnie rozumuje Nelson na temat liberalizmu: konsekwentny liberał nie może być obrońcą liberalizmu, ponieważ obrona pewnych zasad wymaga zwalczania zasad przeciwnych, tego zaś liberał nie może uczynić, ponieważ istotą liberalizmu jest tolerowanie wszystkich poglądów, a więc i poglądów przeciwników liberalizmu...

Po śmierci Nelsona ISK pozostał wierny koncepcjom mistrza. Wydarzenia ostatnich lat uważa za potwierdzenie słuszności tych koncepcyj. Za najważniejsze zadanie ruchu socjalistycznego uważa przedewszystkiem stworzenie awangardy, złożonej z ludzi o mocnych charakterach i światłych umysłach. W stosunku do innych ugrupowań socjalistycznych zachowuje ISK krytyczne, ale — trzeba to przyznać — lojalne i niedogmatyczne stanowisko. Czasopismo redagowane przez ISK wyróżnia się dużą uczciwością informacyjną, rzeczowem i poważnem traktowaniem teoretycznych zagadnień i bieżących, aktualnych spraw. Trybuna dyskusyjna redagowana jest z godną uznania lojalnością.

Sam program polityczny ISK nie jest tym czynnikiem, który stanowi o odrębności i swoistym charakterze tej organizacji. ISK szuka przedewszystkiem nie programu ale człowieka. Uważa, że sam program i sama walka nie stworzy i nie wyłoni nowych, godnych ludzi, że stworzenie tych nowych ludzi musi być świadomym aktem. Tylko nowi, lepsi ludzie, chociażby była ich mała garstka, zdołają poprowadzić walkę. Bez nich najlepszy program musi zawieść. Naturalny dobór wodzów w ogniu walki uważa ISK za kosztowny i niebezpieczny eksperyment. Na początku musi być człowiek... Czy nie tę samą prawdę odkrywa u schyłku swojej wędrówki bohater powieści Silonego „Chleb i wino", Pietro Spina?

Paweł Konrad (Łódź)

*

M. B. Łódź. Za uwagi serdecznie dziękujemy. Książkę oddaliśmy recenzentowi. Zasyłamy pozdrowienia.

J. Kł. Rzeszów. Wiersze jeszcze nie do druku.

A. L. E. Cieszyn. Z satyr nie skorzystamy.

M. G. Stryj. Za miłe słowa i życzenia serdecznie dziękujemy. Z artykułu nie skorzystamy; nie jest źródłowy. Zasyłamy pozdrowienia.

St. Szcz. Tarnów. Wiersze jeszcze nie do druku, ale warto pracować. Prosimy o pamięć i zasyłamy pozdrowienia.

I. S. Wilno. Prosimy o większy wybór.

Al. H. Stanisławów. Z recenzji i feljetonu nie skorzystamy. Prosimy o inne utwory.

Przegląd prasy

Światło, miesięcznik socjalistyczny (r. III, nr. 10), zawiera: „Rachunek sumienia" Juljana Hochfelda, „Problem Europy Środkowej" Kazimierza Czapińskiego, „Istota współczesnego imperjalizmu" Kazimierza Wiśniewskiego, pozatem omówienie bogactw Zaolzia, dyskusji o demokracji i socjalizmie w organie „mieńszewików" „Socjalisticzeskij Wiestnik", sprawozdania z książek.

Trybuna Literatów i Artystów (nr. 6) przynosi m. in. „Pieśń o Śląsku" Franciszka Gozdawy, „Legenda o pierwszym poecie" Stefana Letza (przekład ze słowackiego Antoniego Brosza); w art. „Formalistom" Bronisław Kamiński występuje przeciw naśladowaniu francuskich wzorów formalistycznych w poezji. „Nie potraficie w swojej świetnej formie zamknąć równie świetnej treści, to obniżcie poziom formalny, podnieście natomiast w swoich utworach życie i sens człowieka a spełnicie większe zadania w społeczeństwie i sztuce".

Nasz Wyraz (r. V, nr. 10). Michał Chmielowiec („Punkty programu"), Zbigniew Bieńkowski („List z oblężonego miasta") i Jalu Kurek („Odgrzewanie natchnienia") omawiają zagadnienia awangardy poetyckiej. Ignacy Fik wyróżnia sto powieści, wydanych na przestrzeni dwudziestu lat niepodległości, i rzuca parę ciekawych uwag, charakteryzujących beletrystykę polską. Alfred Łaszowski, J. K. Weintraub i G. Herling-Grudziński zamieszczają odpowiedzi na temat awangardy. Redakcja ogłasza konkurs na utwór sceniczny, dotąd niewystawiony i nieopublikowany; rozmiary jego nie mogą przekraczać 100 stron maszynopisu (?). Termin nadsyłania utworów upływa dnia 31 marca 1939 r.

Comoedia „pismo poświęcone sprawom sztuki i kultury współczesnej, wydawane przy współpracy teatru na Pohulance" (r. I, nr. 1). Józef Maśliński przestał wydawać „Kolumnę Literacką" w „Kurjerze Wileńskim" i objął redakcję nowego pisma, którego pierwszy numer został niemal w całości poświęcony Wyspiańskiemu z okazji wystawienia „Wyzwolenia" na scenie wileńskiej. Piszą o nim Leopold Pobóg-Kielanowski („Walczę z legendą tradycji"), Jerzy Wyszomirski („Dramat Wyspiańskiego") i Tymon Niesiołowski („Malarstwo Wyspiańskiego"). Pismo może stać się ważną pozycją w wileńskiem życiu kulturalnem.

Przegląd Powszechny (nr. 10), organ Jezuitów, omawia niemal wyłącznie zagadnienia polityczne. „Mit XX wieku" Rosenberga krytycznie ocenia R. F. Walczyński („Apoteoza rasy kosztem historji"). Dwa artykuły poświęcone są zagadnieniom komunizmu i Sowietów (H. J. Korybut-Woroniecki „Ku dalszym rozwiązaniom w Sowietach" i J. Skalińskiego „Reorganizacja partji komunistycznej w Polsce"). Marja Waśkowska-Kreinerowa („Czy St. Wyspiański cierpiał biedę w Paryżu?") dowodzi na podstawie własnych wspomnień i korespondencji poety z rodziną, że fałszywa jest legenda, jakoby Wyspiański biedował w czasie pobytu w Paryżu. Miał dość znaczne stypendjum i łatwe „pożyczki" od wujostwa Stankiewiczów, ludzi zamożnych i młodemu malarzowi bardzo życzliwych. Wyspiański nie był oszczędny i pieniądze w jego rękach szybko się ulatniały.

Wiedza i Życie (z. 7—8) jest pożytecznem i potrzebnem czasopismem, popularyzującem sprawy nauki i kultury. W ostatnim zeszycie czytamy kilka interesujących rozpraw: początek studjum Stanisława Ossowskiego „Społeczna rola mitów etnicznych", dokończenie pracy Joachima Metallmanna „O budowie i właściwościach nauki", pierwszą część J. Bleiberga „Typy humanizmu", „Ewolucja zjawisk we wszechświecie" L. Wertensteina, „Rynek pracy" Stanisława Rychlińskiego, „Propaganda" Aleksandra Hertza, „O osobowości, życiu i oddziaływaniu wielkich lotników" Edwarda Arnekkera, „Udział kobiet w pracy zawodowej" Aleksandra Tajtelbauma, „Zagadnienie racjonalnej zabudowy miast" Ryszarda Matuszewskiego, „Przegląd polityczny" Aleksandra Hertza.

Czarno na Białem jest żywo i dobrze redagowanym demokratycznym tygodnikiem politycznym. W każdym numerze znajdujemy bogaty i wszechstronny materjał, omawiający aktualne zagadnienia polityki międzynarodowej. Szkoda, że pismo nie poświęca bodaj trochę miejsca sprawom polityki wewnętrznej.

Marchołt, wydawany przez Instytut Literacki pod redakcją Stefana Kołaczkowskiego, z kwartalnika przekształcił się na dwumiesięcznik (r. V, nr. 1). Z artykułów na tematy literackie wyróżniają się „Życie Eugenjusza Małaczewskiego" Jana Szokalskiego, „Teorja poetycka ks. Henryka Bremond" Aleksandra Rogalskiego, „Co to jest autentyzm?" Jana Brzozy i „Na marginesie utworów Jerzego Andrzejewskiego" Ludwika Kamykowskiego. „Narodową ideę zagranicznej polityki" propaguje Karol Stefan Frycz.

Czytajcie prasę demokratyczną

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.**